

Rosyjska

namiętność

REYES MONFORTE

Rosyjska

namiętność

Przełożył Zbigniew Zawadzki

WYDAWNICTWO WAM

Książka zdobyła Nagrodę im. Alfonsa X Mądryego dla powieści historycznej ufundowaną przez bank Castilla-La Mancha oraz wydawnictwo Espasa Libros. Grupo Planeta, przyznaną przez jury w składzie: przewodnicząca Soledad Puértolas, Almudena de Arteaga, Javier Moro, Javier Negrete i Ana Rosa Semprún.

tytuł oryginału:
UNA PASIÓN RUSA

© Reyes Monforte, 2015
© Espasa Libros S. L. U., 2015

© Wydawnictwo WAM, 2017

Opieka redakcyjna: Dorota Trzcinka
Redakcja: Lidia Kośka
Korekta: Pracownia Edytorska Od A do Z (oda-doz.pl)
Opracowanie okładki na podstawie projektu Magdy Kuc:
Izabella Marcinowska
fot. © Anna Mutwil / Arcangel
fot. © Photogid / Shutterstock
Skład: EDYCJA

ISBN 978-83-277-0560-0

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIEGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260
e.wydawnictwowam.pl

druk: ABEDIK • Wrocław

Publikację wydrukowano na papierze Creamy HiBulk 60 g wol. 2.4
dostarczonym przez ZING Sp. z o.o.

Dla Pepe, bohatera mojej najpiękniejszej historii

Musimy żyć. Nieważne, ile niebios upadło.

D.H. LAWRENCE, *Kochanek lady Chatterley*

To właśnie wtedy dowiedziałam się, że miłość jest nie tylko źródłem radości i zabawą, ale też częścią niekończącej się tragedii życia, że niesie w sobie zarówno wieczne potępienie, jak i przemożną siłę nadającą życiu sens.

NADIEŻDA MANDELSZTAM

Jesteśmy naszą pamięcią,
jesteśmy tym chimerycznym muzeum niestałych form,
tym stosem potłuczonych luster.

JORGE LUIS BORGES, *Cambridge*

(...) choć osamotniony,
Swobodę myśli przekładam nad trony.

BYRON, *Don Juan*

Jeśli za bardzo rozpieszczano cię w dzieciństwie, późniejsze życie może okazać się nieznośnie trudne. Lina wcale nie twierdziła, że ta zasada, powtarzana w jej rodzinie do znużenia, aż stała się swego rodzaju mantrą, stanowi wyjaśnienie, dlaczego znalazła się w krainie wiecznej zmarzliny, gdzie zima trwa osiem miesięcy, temperatura spada poniżej minus pięćdziesięciu stopni Celsjusza, a wiatry znad Arktyki przynoszą śnieżne burze, zakrywające kilkumetrową pierzyną śmiertelnie groźną tundrę, pokrytą mchem i błotem. Od dawna już przestała zadawać sobie pytanie, za co los postanowił się na niej zemścić, zsyłając ją w to miejsce, położone na północ od sześćdziesiątego siódmego równoleżnika.

Jej życie było jak nieustające święto do chwili, kiedy ktoś nagle zgasił światło, a cęgi z kutego żelaza rozdarły na strzępy jej wcześniejszą egzystencję. Mogła się tego spodziewać, mogła właściwie zinterpretować pewne sygnały, które teraz jawiły się przed jej oczami całkiem jasno i wyraźnie, mimo nocnej ślepoty, na którą zapadła w lodowym piekle i z której powodu musiała przemykać się wśród łagrowych baraków jak cień, próbując namacać wejście do baraku kuchennego rękami popękkanymi od północnego wiatru. Miała w nim zjeść swoją ostatnią dzienną rację – kubek rozwodnionej zupy ze zgniłej kapusty z kromką kwaśnego chleba. Był to cały posiłek na zakończenie czternastogodzinnego dnia przymusowej pracy. Uśmiechała się z tą samą godnością, jaka była widoczna na jej twarzy, gdy sędzia skazywał ją na dwadzieścia

lat w obozie stanowiącym część Gułagu. Została oskarżona o szpiegostwo i zdradę ojczyzny. Nie była rozpieszczonym dzieckiem. Raczej osobą, która ocalała i próbuje się przystosować do warunków i scenariuszy wymyślanych przez życie. Do postojów na stacjach, na których wolałaby nigdy nie stawać stopy.

Jak co noc jej pamięć przywoływała słowa, które Karolina, babcia ze strony matki, wypowiedziała do niej spokojnym i swojsko brzmiącym głosem. Babcia była nauczycielką literatury francuskiej i pisała nowele, które opowiadała swojej jedynej wnuczce, słuchającej ich z szeroko otwartymi oczami. Lina spędzała długie miesiące wakacji na Kaukazie z babcią oraz dziadkiem Władysławem Adalbertowiczem Niemyskim – polsko-litewskim arystokratą, piastującym wysokie stanowiska w rządzie rosyjskim w okresie rozbiorów, kiedy jego rodzinne ziemie należały do Rosji. Mieszkali w przytulnym drewnianym domu położonym pośród bujnej roślinności i wodnych kaskad, wśród krajobrazów, które rozbudzały w dziewczynce miłość do przyrody. Jej dzieciństwo rozbrzmiewało bajkami La Fontaine’a czytаныmi po francusku. Ale jej ulubioną bajką był *Świerszcz* Jean-Pierre’a Claris de Florianana. Lina mogła słuchać tej historii tysiące razy, nie nudząc się, choć morał zrozumiała w pełni dopiero jakieś czterdzieści lat później. Jej pamięć przez cały czas przechowywała melodię i słowa opowieści.

Raz biedny świerszcz niepozorny

Ukryty przez ziola kwitnące

Patrzył, jak motyl niesforny

Fruwa beztrosko po łące.

(...)

„Ach! wzdychał świerszcz, jak moje i jego

Różne są losy! Jejmość natura

*Jemu dała wszystko, mnie zaś niczego:
Talent mój marny, jeszcze gorsza figura”.*
(...)
*Gdy świerszcz tak biadał, na łąkę stadkiem
Nadbiegły dzieci i zaraz
Widać, jak wszystkie naraz
Motyla ścigają (...).
Wkrótce zostaje złapany.
Jeden ciągnie za skrzydło, drugi nie szczędzi główki,
(...)
Nie trzeba było wcale aż tyle harówki,
By biedny zwierzak padł rozzerwany.
„Och! och!, mówi świerszcz, już myślę pogodnie;
(...)
Aby żyć szczęśliwie, żyjmy niepozornie”.*

Po skończonej bajce babcia Karolina zawsze przez dłuższą chwilę milczała, przyglądając się wnuczce, po czym powtarzała jej dla pamięci morał po francusku: *Pour vivre heureux, vivons cachés* – „Aby żyć szczęśliwie, żyjmy niepozornie”.

To właśnie ona pomogła Linie zwalczyć strach przed ciemnością. Pewnej nocy, kiedy dziewczynka prosiła ją, żeby pozostawiła w pokoju zapalone światło, babcia Karolina usiadła na jej łóżku i zaczęła się bawić długimi warkoczami małej.

– Zamknij oczy i słuchaj ciszy, odgłosów burzy i wycia wilków... To jest muzyka, moje dziecko, cudowna partytura. Powinnaś się w nią wsłuchać uważnie. Niczym ci nie zagraża, towarzyszy ci tylko, żebyś wiedziała, że nie jesteś sama.

Wspomnienie głosu babci przynosiło pocieszenie. Lina próbowała ułożyć jakoś zbolące ciało na wąskim sienniku rzuconym na drewniane deski, gdzie sypiała. Mocno zaciskała powieki, aż do bólu. Poczwała w oczach bolesne ukłucia,

towarzyszące pękaniu ropnych strupów, które utworzyły się z powodu siarczystego mrozu i wyniszczenia niedożywionego organizmu. Ale nie przejmowała się bólem. Niemal cieszyła się, że rana się otworzyła i wycieka z niej strumyczek czegoś ciepłego, co spływa po policzkach. Jej oczy błyszczały z powodu gorączki, nękającej ją od kilku dni. Teraz starała się ich nie otwierać, zmarszczyła brwi, starając się skupić na obrazie, który towarzyszył jej przed chwilą. Chciała do niego powrócić. Poczuć raz jeszcze ten sam błogostan jak wtedy, gdy Siergiej komponował, a ona siedziała u jego boku z wyrazem uległości w oczach, gotowa poddać się bez oporu światu niekontrolowanych doznań. Ciągi nut, których całe mnóstwo wydostawało się nieustannie z umysłu Prokofiewa, aby za pośrednictwem jego szczupłych i bladych palców zaatakować z impetem klawisze fortepianu, przenosiły ją do odmiennego, dalekiego świata. Ten świat, osadzony w innym wymiarze, był oddalony od ziemi, po której stąpała, i od codziennych problemów. Lina odbierała tę muzyczną nirwanę jako zapowiedź wieczności. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała teraz wrócić do tamtego świata, do tamtych chwil życia, kiedy wszystko się zaczęło, kiedy los zaczął zapisywać jej historię z niezmierną beczelnością, którą zawsze w jej przypadku wykazywał. Potrzebowała posłuchać muzyki swojego życia.

Dobiegające z zewnątrz wycie wilków też mogłoby stać się częścią tej samej partytury, która zaczynała powstawać w umyśle Liny, ale kompozytorka nie dała mu na to przyzwolenia. Od dawna już nie bała się wilków, podobnie jak nocnych ciemności, a nawet niepokojących odgłosów, które dobiegały z baraków łagru w Abez niedaleko Workuty. Bała się tylko zapomnienia. Jedynym luksusem, który chronił ją i pozwalał jej nie czuć wszechobecnego zimna, były wspomnienia. Wiedziała, że każdy dzień pracy w łagrze odbierał

jej rok życia, ale każda noc wypełniona wspomnieniami przedłużała je o te utracone dwanaście miesięcy. Cieszyła się, że jej pamięć nie blaknie, bo była jedynym lodołamaczem, jakim Lina dysponowała. Jedyne życie, które potrafiła sobie stworzyć, żeby nie zostać pokonaną przez los, polegało na przechadzaniu się pośród wspomnień. Oczywiście wspomnienia bołą i pieką, jak alkohol wylany na otwartą ranę. Ale w ostatecznym rozrachunku leczą, uzdrawiają zranione ciało i usuwają infekcję, choć na skórze pozostaje blizna – ślad, który nigdy nie zniknie.

Lina przykryła się wystrzępionym kocem, a jej ciało zmieniło się w nieokreślony kształt ukryty pod wytartym materiałem, będącym siedliskiem brudu, pluskiew oraz wszy. *Pour vivre heureux, vivons cachés*. Słowa powtarzane przez babcię przejęły rolę pałeczki z kości słoniowej, dostatecznie lśniącej i jasnej, by odcinała się od ciemności sali koncertowej, w którą wyobraźnia Liny zamieniła obozowy barak. Widziała, jak pałeczka drży między jej palcem wskazującym a kciukiem, szukając najlepszej pozycji. W końcu – stabilna i pewna – była gotowa, by subtelnym ruchem przeciąć powietrze i zacząć odmierzać rytm odczytywany z pięciolinii pamięci.

W umyśle Liny pojawił się pierwszy obraz. Zobaczyła zalane słońcem wieże Notre Dame, jaśniejącą w świetle kopułę kościoła Inwalidów, skąpaną w jasnych promieniach wieżę Eiffla. Zobaczyła siebie samą, witającą nowy, 1924 rok przy stoliku u Pruniera – w jednej z najlepszych paryskich restauracji, w której później dzieliła się z Ernestem Hemingwayem półmiskiem ostryg uzupełnianych kolejnymi kieliszkami sancerre. Podobnie zresztą było podczas ich pierwszego spotkania w kawiarni Le Pantheon w pobliżu placu Saint-Michel, które też sobie przypomniała. Po kilku sekundach wyobraźnia Liny przeniosła ją znów do luksusowej restauracji

Pruniera, bez wątpienia jej ulubionego lokalu we francuskiej stolicy. Była tam pierwszego dnia, kiedy mogła już wychodzić z domu po urodzeniu pierworodnego, Światosława. Przyszła na kolację w towarzystwie przyjaciół – Maurice’a Ravela, Francisa Poulenca i Raymonda Roussela. Babcia Karolina miała rację: zamykając oczy, Lina była w stanie usłyszeć *Pre-ludium* do *Popołudnia fauna* Debussy’ego, które rozbrzmiewało tak często w jej domu przy paryskiej rue Valentin Haüy pod numerem 5. Widziała samą siebie, jak mknie wraz z Siergiejem saniami po zamarznętej rzece Moskwie i ogląda widowisko z udziałem promieni słonecznych odbijających się od Kremla. Kolejne obrazy biegły coraz bardziej w głąb, odtworząc podróż jej życia. Znowu pozwalała się uwieść magnetyzmowi Marleny Dietrich, podnoszącej kieliszek, aby stuknąć się z nią w restauracji Victor Hugo w Beverly Hills, wymieniała zwierzenia z Coco Chanel, która twierdziła, że „aby być niezastąpionym, trzeba się ciągle zmieniać”, i słuchała intymnych zwierzeń Walta Disneya, który – jak wszyscy – był nią zafascynowany. Patrzyła znów w wielkie oczy Pabla Picassa, który mówił jej, że jest zachwycającą kobietą, a „ten Rosjanin nie zrobił nic, żeby na nią zasłużyć”. W studiu panny Stein, pod numerem 27 przy rue de Fleurus, słuchała jej słów o tym, że „człowiek może sobie kupować obrazy albo stroje”, ale że „nie wierzy, by był w stanie kupować jedno i drugie, niezależnie od tego, jak byłby bogaty”. Przypominała sobie szczerść Kiki z Montparnasse’u, szepczącej jej do ucha, że „w Paryżu wszyscy mówią o miłości, ale nikt nie umie jej uprawiać”. Śmiała się, wspominając komentarz jej bliskiego przyjaciela, twórcy Ballets Russes, Siergieja Diagilewa, siedzącego na brzegu łóżka, w którym Lina dochodziła do siebie po drugiej ciąży: „Kobieta z synem jest jak generał; z dwoma staje się marszałkiem”. Pamiętała pełne zrozumienia spojrzenie generała de Gaulle’a całującego

jej dłoń: „Niecierpliwie czekamy na panią w Paryżu, pani Prokofiew”, uparte pytania Federica Garcíi Lorki: „Jest pani pewna, że nie urodziła się w Kordobie?”, pełne śmiechu biesiady z Charlesem Chaplinem, Imperium Argentyną i Igo-rem Strawińskim w jego letnim ustroniu La Fléchère nad jeziorem Bourget, noc w paryskim Empire spędzane na słuchaniu Carlosa Gardela i lakoniczne zdanie Pierre’a Reverdy’ego zapisane na kartce: „Co stałoby się z marzeniami, gdyby ludzie byli szczęśliwi?”. Coco Chanel miała rację: pamięć jest rodzaju żeńskiego.

Utrzymujący się od dłuższej chwili głuchy stukot prze-rwał serię obrazów, które wyświetlała pamięć Liny. Nie miała problemów ze zidentyfikowaniem źródła tych hała-sów. Nie musiała nawet specjalnie podnosić wzroku, żeby w szparach między deskami baraku dostrzec, jak głowy więźniów, których martwe ciała ciągnięto po schodach, ude-rzają o ich stopnie. Była oswojona z tym widokiem aż nad-to. Jakby chodziło o dobrze dostrojoną orkiestrę, w odgłosy nocy włączały się coraz to nowe dźwięki: Lina rozpozna-wała stłumiony szloch dobiegający z pryczy poniżej, zmie-szany z serią niezrozumiałych słów modlitwy, świst wia-tru przedostającego się przez szczeliny w ścianach, szepty którejs z więźniarek dręczonej koszmarnym snem; do tego dochodziły jeszcze dźwięki dobiegające z innego wymiaru czasowego: pobrzękiwanie kluczy noszonych przez strażni-ków więzienia Lefortowo, gęsta cisza korytarzy Łubianki, wiadomości wystukiwane łyżkami o ściany cel i nadawane alfabetem Morse’a – w jedynym dostępnym więźniom ję-zyku – zaczynające się zawsze od pytania: „Kto ty jesteś?”. A przede wszystkim głos sędziego śledczego Riumina: „Czasami życie przenosi nas w miejsca, które nam nie od-powiadają, i nie możemy na to nic poradzić; pozostaje po-godzić się z losem”.

Lina zwinęła się w kłębek, prycza zaskrzypiała, jakby i ona jęczała pod ciężarem rzeczywistości. *Pour vivre heureux, vivons cachés. Pour vivre heureux, vivons cachés.* Jej umysł poszukiwał jakiejś deski ratunku, która pozwoliłaby jej nie utonąć; żeby ją znaleźć, musiała wrócić do początku, do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło, gdzie po raz pierwszy przybrała kształt jej wielka namiętność, która doprowadziła ją do najokrutniejszego z piekieł...

CZĘŚĆ PIERWSZA

Nowy Jork

Miłość –
to z prześcieradeł
bezsennością rwanych
zrywać się (...).
Dla nas
miłość
to nie ustronie w raj,
dla nas
miłość
huczy tylko o tym,
że znowu,
znowu do pracy się nadaje
serca
wystygły motor.

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI, *List z Paryża*
do towarzysza Kostrowa o istocie miłości

– Ta przekłeta grypa narobi więcej złego niż wojna.

Olga Niemyska przytrzymywała słuchawkę telefonu jedną ręką, w drugiej trzymając kubek mleka przeznaczony dla cierpiącej na anemię córki. Był wieczór i dzwonek telefonu zakłócił rodzinny spokój w mieszkaniu przy Washington Heights pod numerem 145. Niedawno się tam wprowadzili. Telefon zaniepokoił Olgę. Reagowała tak zawsze, gdy dzwonek rozlegał się po dziewiątej wieczorem, a jej mąż, Juan Cordina, był akurat w podróży poza krajem. Jednakże szybko rozpoznała dobrze znany głos przyjaciółki, Wierę, która zapraszała ją na koncert w nowojorskiej Carnegie Hall. Miał się odbyć nazajutrz, we wtorek 10 grudnia 1918 roku.

– Zabroniłam Linie podróżować metrem i piętrowymi pociągami. Są źródłem infekcji. Tak, tak... Oczywiście, że sobie przypominam, przecież to ja ją urodziłam... Wiem, że ma dwadzieścia lat i nie jest dzieckiem. Ale ma dość problemów z anemią. Tylko tego jej potrzeba, żeby złapała tę sakramencką grypę. Hipochondryczka? Wiera, proszę cię, przecież jesteś specjalistką...

Wiera Danczakowa była uznaną badaczką w dziedzinie nowotworów i pionierką prac nad komórkami macierzystymi. Trzy lata wcześniej porzuciła swój rodzinny Sankt Petersburg i wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, zniechęcona niestabilnością, jaka zapanowała w jej ojczystym kraju w związku z udziałem Rosji w wielkiej wojnie, dewastującej świat od 28 lipca 1914 roku.

– Jesteś biologiem i powinnaś wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny, że grypa zabije więcej ludzi niż ta przeklęta wojna, chociaż nikt nie chce tego głośno powiedzieć – kontynuowała Olga. – Za każdym razem, kiedy słyszę, jak Lina kaszle, serce zamiera mi w piersi. A ty mówisz, żebym nie przesadzała.

Ta piękna kobieta o długich, jasnych włosach i zjawiskowych niebieskich oczach mówiła szybko, nie robiąc pauz, lecz wystukując wypowiedzianymi słowami przyjemny dla ucha rytm. W jej głosie słychać było melodyjność charakterystyczną dla wielkiej sopranistki, która całkiem niedawno przemierzała Europę, występując na jej scenach. Olga pochodziła z bardzo starej rodziny, co często lubił podkreślać w żartach jej mąż Juan Codina, hiszpański tenor urodzony w Barcelonie, którego poznała, gdy oboje przebywali we Włoszech, w szkole przy Teatro alla Scala w Mediolanie. Choć Olga nie lubiła o tym opowiadać, jej rodzina ze strony ojca, Niemyscy, należała do pradawnego rodu wywodzącego się od polskich królów. Ojciec, Władysław, zajmował ważne stanowiska w rosyjskiej strukturze politycznej, w której zawsze wyróżniał się liberalnymi poglądami, choć lubił także obnosić się ze swoją surowością i formalizmem. Olga, powodowana najwyraźniej chęcią podkreślenia, że nie przywiązuje do tych spraw wagi – czy to ze skromności, czy ze wstydu – marszczyła brwi za każdym razem, kiedy w gronie przyjaciół przypadło jej wspomnieć (zawsze na prośbę męża), że jej ojciec był radcą stanu. Być może dlatego, a także ze względu na katolicyzm Juana Codiny – Niemyscy byli kalwinistami – ojca Olgi nie napawała entuzjazmem idea zawarcia przez córkę małżeństwa z kimś, kogo nazywał w zwykłym amato rem.

– Nie jest nawet wystarczająco dobry, żeby błyszczeć własnym blaskiem. To zwykły amator. Kto to widział, żeby

artystę męczyła trema? Równie dobrze mogłabyś wyjść za dozorcę – powiedział w końcu córce, kiedy ta upierała się, żeby porozmawiać o małżeństwie.

Wszystkie ojcowskie obiekcje zniknęły, gdy 20 października 1897 roku pod numerem 4 przy ulicy Bárbara de Braganza w Madrycie na świat przyszła Carolina Codina Niemyska. Od tego dnia, kiedy tylko rodzice dziecka wyjeżdżali na tournée, Lina zostawała pod opieką dziadków na Kaukazie – jeśli było lato, albo w Odessie – jeśli działo się to podczas rosyjskiej zimy. Mała czuła się u nich szczęśliwa, bo miała wszystko, czego potrzebowała w swoim życiu sześciolatki: miód – smakołyk szczególnie bliski jej dziecięcemu podniebieniu, który zresztą sama umiała wybierać z uli dzięki rozumnym lekcjom, jakich udzielał jej zaprzyjaźniony z dziadkami pszczelarz, a przede wszystkim teatr. Mała Lina śpiewała, recytowała i tańczyła w salonie dla jednego jedyne go widza: dziadka Władysława. Surowość, którą zwykle demonstrował starzec, rozpuszczała się jak kostka cukru w kubku ciepłego mleka, kiedy wnuczka siadała mu na kolanach i patrzyła na niego na wpół przymkniętymi oczami. To spojrzenie odziedziczyła po Juanie Codinie; to ono wiele lat później wzmacniało magnetyczną siłę jej oczu. Dziadek pozwalał nawet, żeby małe paluszki dziewczynki bawiły się jego długą i gęstą brodą. Tym przywilejem nie cieszyła się nawet jego żona, która nieustannie ostrzegała męża:

– Zanadto rozpieszczamy tę małą, a ty jesteś za to w największym stopniu odpowiedzialny.

Już w wieku czterech lat Lina była prowadzana przez dziadka za rączkę do najlepszych restauracji w mieście i dostawała ogromne bukiety kwiatów, które on sam starannie przygotowywał. Dziadek pozwalał jej wybierać jajka od kur i uczył ją naśladować dźwięki wydawane przez gęsi, za

którymi dziewczynka biegała z małym kijkiem, nieraz przyplacając tę śmiałość przykrym upadkiem.

Ale kiedy w listopadzie 1907 roku dziadek Władysław zmarł na zapalenie płuc, którego jego organizm nie zdołał zwalczyć – było to zaledwie dwa lata po pogrzebie jego żony – Olga i Juan uznali, że nadeszła pora, by rzucić się w wir nowej przygody, z dala od Europy, szczególnie od Rosji, do której nigdy więcej już nie wrócili. W pierwszy dzień nowego, 1908 roku wylądowali na Ellis Island z walizką pełną marzeń. Do portu, stanowiącego dla milionów imigrantów bramę wejściową do Stanów Zjednoczonych, dotarli na pokładzie statku Statendam, który kilka dni wcześniej, 21 grudnia 1907 roku, wypłynął z Boulogne-sur-Mer. Od tej chwili Nowy Jork stał się ich domem. Od pierwszych dni mieli świadomość, że ani on – czterdziestolatek, ani ona – trzydziestopięciolatka nie są w najlepszym wieku do rozpoczynania oszałamiającej kariery muzycznej w nowym kraju. Ale Juan i Olga aspirowali wyłącznie do tego, żeby mieć trochę lepsze życie. Za sprawą charakterystycznego dla tej rodziny zapału Lina opanowała pięć języków: rosyjski, którego nauczyła się od matki i wcześniej od dziadka Władysława, angielski, który przyswajała sobie od opiekunek, francuski – język, którym mówiła babcia Karolina, hiszpański, którego nauczyła się dzięki ojcu, a także, ku niezadowoleniu Olgi, kataloński. Matka Liny wciąż strofowała męża:

– Nie rozumiem, dlaczego musisz mówić do swojej córki po katalońsku. Przecież ten dialekt nigdy jej nie będzie potrzebny!

Jeszcze wiele lat później Lina pamiętała, że te słowa budziły w ojcu wielki gniew. W takich chwilach wydawało jej się, że jego wydatny, czarny wąs zaczyna żyć własnym życiem.

– Dialekt? Kataloński to zupełnie odrębny język. Lina, powiedz matce, że Katalonia była wielkim mocarstwem, obejmującym część Hiszpanii, Prowansji i Langwedocji. No proszę, powiedz jej to, bo chyba zapomniała.

Olga kręciła głową z wyraźną dezaprobatą, mrużąc przy tym:

– Wielkie imperium... Idź i opowiedz tę bajkę carowi Mikołajowi II... Jemu opowiadaj o wielkim imperium... i carowej.

W takich momentach rodzice Liny zaczęli porozumiewać się ze sobą za pomocą pisemnych notatek, żeby córka nie mogła usłyszeć dalszego ciągu rozmowy. Zawsze też tak postępowali, kiedy musieli porozmawiać o problemach finansowych.

– Nie róbcie tego. Przestańcie pisać, bo nie wiem, o czym mówicie – protestowała zwykle mała, ale na próżno.

Rodzice Liny dość szybko nawiązali kontakty z licznym nowojorskim środowiskiem rosyjskich uchodźców. Cała rodzina chętnie spotykała się z nimi, by jeść, pić i godzinami debatować o abdykacji cara Mikołaja II, dojściu do władzy bolszewików i pojawieniu się na scenie niejakiego Włodzimierza Iljicza Uljanowa, którego niedługo później świat poznał pod nazwiskiem Lenin. Podczas tych spotkań z rodakami można było usłyszeć różnego rodzaju opinie – od najpoważniejszych do najbardziej szalonych.

– Mówią, że żona cara rzeczywiście była niemieckim szpiegiem. Dlatego dokonano zamachu na Rasputina, który miał za duży wpływ i na nią, i nawet na decyzje podejmowane przez samego cara. Słyszałem, że Rasputin wykorzystywał hipnozę.

– Przypomnijcie sobie, jak trudno go było uśmiercić: nie wystarczyła ani trucizna, ani kule. W końcu wrzucili go do Newy i tam się utopił.

– Nie mogę uwierzyć, żeby zrobili to rosyjscy arystokraci. Słyszałam, że w zamachu brały udział brytyjskie tajne służby...

– Nie zdziwiłbym się, bo mieszkałem jakiś czas w Anglii. Ale że cara Mikołaja zawiadła nawet jego własna rodzina! Ani syn, chory na hemofilię, nie nadawał się na jego następcę, ani córki. A kiedy poprosił o azyl polityczny króla Anglii Jerzego V, swojego kuzyna, z którym zresztą byli podobni jak dwie krople wody, tamten mu odmówił, bojąc się rewolucyjnej zarazy. Nie chciał ryzykować i nawet zmienił nazwę dynastii królewskiej. Jednym pociągnięciem pióra wykreślił dynastię saksońsko-koburską, bo brzmiało to zbyt niemiecko. To wcale nie żart. I nazwał się pierwszym monarchą z domu Windsorów!

– Cała Europa boi się, że rewolucyjny duch bolszewizmu się rozniesie. Boją się tej pandemii bardziej niż grypy. Za każdym rogiem wietrzą spiski, szpiegów i próby zamachu stanu. W tej chwili Ameryka to chyba najlepsze miejsce do życia.

Podczas jednego z takich spotkań Olga poznała Wierę Danczakową, która była nie tylko wybitnym naukowcem, ale także obiecującą pianistką. Wiera uwielbiała dobrą muzykę (żartowały często, że „tak jak wszyscy szanujący się Rosjanie”) i podziwiała piękny głos Olgi. Od pierwszej chwili między kobietami wywiązała się głęboka przyjaźń, zrodzona z wzajemnego podziwu i wzmocniana nostalgią za ojczyzną. Często można je było zobaczyć razem na koncertach pianistycznych, w operze i w teatrach muzycznych, których tak wiele ogłaszało się na nowojorskich afiszach.

I oto teraz Wiera proponowała Oldze pójście na występ młodego rosyjskiego pianisty i kompozytora, który dopiero co przyjechał do miasta, poprzedzany famą obrazoburcy i rewolucjonisty.

– Chcesz, żebym ryzykowała zarażenie się grypą po to, żeby obejrzieć muzycznego bolszewickiego dekadenta, będącego w klawisze steinwaya jak tatarski dzikus?

Odpowiedź Wiery, udzielona na drugim końcu linii telefonicznej, zbiegła się z protestującym gestem przysłuchującej się rozmowie obu kobiet Liny. Dziewczyna, popijając małymi łyżkami dzienną porcję wapna, mającego pomóc na niski poziom żelaza we krwi, żywo zainteresowała się koncertem i zapragnęła na niego pójść.

– Ja też chcę iść – powiedziała wysokim głosem do matki, która w gruncie rzeczy również miała ochotę posłuchać młodego rodaka.

– Siergiej Prokofiew – ciągnęła Olga, nie zwracając najmniejszej uwagi na Linę. – Tak, kobieto, jasne, że już o nim słyszałam. Czytam gazety i słucham radia. Futurysta, wizjoner niedawno przybyły z tajemniczej Rosji – mówiła, powtarzając słowo w słowo to, co o muzyku pisała nowojorska prasa. – Ale nie sądzę, żeby najbardziej mu przypadło do gustu określenie, które przykleiły do niego gazety: „najbardziej obiecujący młody muzyk rosyjski od czasu Igora Strawińskiego”. Tym, którzy zaczynają, nie podoba się zwykle, kiedy porównuje się ich z namaszczoneymi.

Lina przesłała matce szeroki uśmiech, dzięki któremu jeszcze bardziej zalśniły jej egzotyczne oczy. Wiedziała, że Olga przyjęła zaproszenie Wiery w dużej mierze ze względu na nią. Lina odziedziczyła po swoich przodkach talenty artystyczne. Marzeniem jej życia stała się kariera śpiewaczki operowej. Była gotowa zrobić wszystko, żeby to marzenie spełnić. Wiedziała, że przed nią długa droga, ale pragnęła ją za wszelką cenę przemierzyć. Na prośbę rodziców, którzy nieustannie napominali ją, że powinna się nauczyć liczyć na siebie samą – „bo w życiu nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć i jak cię zaskoczy los” – Lina chodziła do szkoły biznesu,

gdzie zdobywała kwalifikacje sekretarki, a jednocześnie pobierała lekcje śpiewu. Dzięki kontaktom rodziców i własnej znajomości języków dość szybko znalazła pracę i nawiązała znajomości wśród elity kolonii rosyjskiej w Nowym Jorku.

– Mamo, nie powinnaś go nazywać bolszewikiem. – Pod wpływem słów córki na twarzy Olgi wykwitła mina niemalże komiczna. Rzadko udawało się zaskoczyć Olgę nieoczekiwanym komentarzem. – Breszkowska wyjaśniała mi wczoraj różnicę między komunistami a bolszewikami i powiedziała, że ci drudzy są gorsi niż carat. Jej zdaniem, żeby mówić o Rosji, trzeba było w niej żyć, cierpieć i przede wszystkim ją rozumieć. A nie wszyscy mieli taką możliwość.

Lina od kilku tygodni pracowała jako tłumaczka, asystentka i stenotypistka Jekatieriny Breszkowskiej, nazywanej przez wielu Ciotką Rewolucji. Była to działaczka anarchistyczna, którą zesłano na Syberię za związki z organizacjami socjalistycznymi.

– Poza tym ona mówi, że rewolucja rosyjska to zamach stanu, który kompromituje ideę socjalizmu, a Lenin jest fanatykiem kontrolowanym przez niemieckich agentów – dodała Lina takim tonem, jakby czytała pod dyktando, co odbierało jej słowom wszelkie ślady wiarygodności.

Olga przyglądała jej się z wyrazem twarzy świadczącym zarówno o dumie, jak i o matczynym lęku. Sprawiało jej niekłamaną satysfakcję, że córka jest z charakteru tak do niej podobna – silna, pewna siebie i zdecydowana – że ma w sobie tę nieokiełznaną swobodę, która dla połowy świata jest ledwie mirażem. Jednocześnie budziło to jej zaniepokojenie. Świat przekształcił się w zaminowane pole i konieczna była pewna ostrożność; trzeba wiedzieć, gdzie można postawić stopę i wbić sztandar wolności.

Olga nie reagowała na słowa córki przez kilka sekund, choć wydawało się jej, że mijają godziny.

– Mam nadzieję, że kiedy wejdiesz jutro do Carnegie Hall, będziesz umiała znaleźć inny temat do rozmowy, moja panno. Wiesz przecież, co oboje z twoim ojcem myślimy na temat polityki. – Widząc, że córka nie przyjmuje jej rady do wiadomości z należytą powagą, powtórzyła ostrzeżenie bardziej zdecydowanym głosem. – Lina, posłuchaj mnie uważnie: unikaj polityki tak samo jak grypy. To śmiertelnie niebezpieczny wirus i kiedy się nim zarazisz, trudno go zwalczyć. Zrozumiałaś mnie?

Młoda kobieta z przekonaniem pokiwała głową, aż zafalowały jej długie, bujne włosy koloru smoły, które odziedziczyła po ojcu. Nie bardzo wiedziała, co oznaczały słowa, które przed chwilą wymówiła, powtarzając jak papuga fragment jednej z licznych tyrad wygłaszanych przez Breszkowską. Ograniczyła się do zebrania nut na najbliższą lekcję śpiewu i do uporządkowania zbioru wycinków prasowych poświęconych Oldze, który trzymała w rękach. Lina z przyjemnością spoglądała na nazwisko matki pojawiające się w programach, przechowywanych w tekturowym pudełku wraz z egzemplarzami czasopism i gazet, w których pisano o Oldze. Marzyła, że któregoś dnia zdoła pójść drogą matki, że zostanie wielką śpiewaczką operową i będzie oglądać swoje nazwisko wypisane wielkimi, świecącymi literami na budynkach mieszczących najważniejsze sceny.

Tej nocy nieznanе jej dotąd niecierpliwe wyczekiwanie na wydarzenia dnia następnego nie pozwalało zasnąć z typową dla niej łatwością. W jej głowie rozpuętała się wojna melodii, zwrotek i pieśni. Lina miała wielką ochotę posłuchać tajemniczego człowieka, o którym wszyscy mówili i z którym mało kto rozmawiał. Zmusiła się do zamknięcia oczu, mając nadzieję, że tym popędzi mijające godziny.

Carnegie Hall była wypełniona po brzegi. Wyglądało na to, że nikt nie chce przegapić tego, co ma się wydarzyć po południu. Zachwycona Lina przez kilka chwil wdychała charakterystyczny zapach tego miejsca. Robiła to z takim przejęciem, zamknawszy uprzednio oczy, że ktoś, kto by ją przy tym zobaczył, pomyślałby, że dziewczyna wprowadza się w trans albo że za chwilę zemdleje na środku głównego holu, ozdobionego subtelnymi ornamentami w tonacji białej i złocistej. Zupełnie jakby chodziło o jakiś rytuał, Lina wzięła trzy głębokie wdechy, próbując wciągnąć do płuc całe powietrze wypełniające pięć pięter, które składały się na majestatyczne wnętrze gmachu, przebiegła też w swojej wyobraźni wszystkie sto pięć stopni prowadzących do górnych łóż. Potem pozwoli otworzyła oczy i spojrzała na sklepienie, które wydawało się przyglądać jej i mówić: „Czekam na ciebie”.

Nie była w stanie określić dokładnie, jak pachnie ten teatr, ale wiedziała, że nie chce spędzić ani jednego dnia życia bez wdychania tej woni.

Przyszły dość wcześnie, popisując się punktualnością, którą wpajano Linie od małego jako pierwszą, zasadniczą regułę dobrego wychowania. Obecność Liny zawsze stawała się wydarzeniem. Jej egzotyczna uroda stanowiła idealne uzupełnienie naturalnej elegancji, którą dodatkowo wzmacniał dar konwersacji i dobry gust, jeśli chodzi o stroje. Magnetyzm młodej kobiety nieuchronnie przyciągał do niej spojrzenia wszystkich wkoło, zarówno mężczyzn, którzy nie mogli oderwać od niej oczu, jak i kobiet, nieprzystających się dziwić, jak z pozoru prosta suknia z czarnego jedwabiu z niewielkimi koronkowymi mankietami w niebieskawym tonie może tak idealnie podkreślać piękną kobiecą sylwetkę. Jedynymi

dotatkami do sukni Liny były kołnierz z białego futra, kapelusik skrywający dyskretnie zebrane, falujące włosy oraz maleńka torebka zawieszona na długim i cienkim łańcuszku, huśtająca się tuż przy biodrze właścicielki. Linie zawsze udawało się zaznaczyć swoją odrębność od reszty publiczności, i to nie tylko sposobem ubierania się, ale także zachowaniem. Matka uśmiechała się, nie mogąc ukryć uczucia dumy, którym napawała ją córka. Lina przemieniła się w piękną kobietę, choć Olga wciąż potrafiła w niej dostrzec ekstrawertyczne dziecko o ładnych rysach i długich warkoczach.

Siedząc obok Wiery i matki, Lina zajmowała jeden z dwóch tysięcy ośmiuset czterech foteli sali koncertowej. Nie dało się tam już zmieścić ani jednej dodatkowej osoby. Wszyscy chcieli być obecni przy prezentacji nowej rosyjskiej sensacji w nowojorskiej świątyni muzyki. Kiedy zgasły światła, Lina zaczęła szybko i nerwowo mrugać powiekami, jakby przeczuwała, że nie będzie mogła tego robić przez cały czas trwania koncertu. Nienawidziła charakterystycznego festiwalu kaszlu i odchrząknięć, bez którego nie mógł się obyć początek żadnego koncertu. Orkiestra składała się w większości z rosyjskich muzyków, a dyrygował nią Władimir Altschuler. Wieczór rozpoczynała *II Symfonia e-moll* Siergieja Rachmaninowa, którego Lina poznała osobiście w 1909 roku i którego muzykę od tamtego czasu uwielbiała. Od pierwszych chwil zwrócił jej uwagę wzrostem, mocną budową, ogromnymi dłońmi z wydatnymi knykциями, a także wystudiowaną elegancją – był odziany w trzyczęściowy garnitur, niewątpliwie podkreślający jego sylwetkę i pasujący do nienaganych manier. Zapamiętała na zawsze wyznanie, które jej złożył:

– Słyszę muzykę w głowie. Kiedy ten dźwięk ustaje, przestaję ją zapisywać. To jest moja tajemnica.

Po tym dziele w programie koncertu nastąpiły krótkie utwory, a wśród nich, jak powiedziała jej na ucho Wiera

Danczakowa, *Scherzo na cztery fagoty* samego Siergieja Prokofiewa. Ale główna atrakcja nadeszła później: *I Koncert fortepianowy* autorstwa głównego bohatera wieczoru.

Lina zobaczyła wchodzącego na scenę mężczyznę: szczupłego blondyna o zgrabnej sylwetce, ubranego w idealnie skrojony frak, z bardzo krótkimi włosami zaczesanymi do tyłu z użyciem może nieco nadmiernej ilości brylantyny. Ogólnie postać artysty uderzała elegancją. Skierował się bezpośrednio do fortepianu, nie patrząc na publiczność. Lina nie potrafiła rozstrzygnąć, czy chodzi o przypadek nadmiernej pewności siebie, czy artystycznej wyniosłości. Kiedy palce pianisty rozpoczęły bieg po klawiaturze, młoda słuchaczka poczuła dreszcze. Weszła w nieznany jej wcześniej stan wewnętrznego napięcia, jakby stała się jednym z osiemdziesięciu ośmiu klawiszy fortepianu Steinwaya. Może jednym z pięćdziesięciu dwóch białych, które Prokofiew uwielbiał, a może jednym z trzydziestu sześciu czarnych, których od dziecka nie znosił. Chęć ich unikania doprowadziła go do skomponowania w wieku pięciu lat utworu w skali lidyjskiej – całkiem zresztą nieświadomie. W miarę jak trzy części wykonywanego teraz utworu przechodziły bez żadnej przerwy kolejno jedna w drugą, emocje Liny narastały. Przez chwilę czuła, że brakuje jej powietrza, a serce pompuje krew w szaleńczym tempie, grożącym rozsadzeniem jej piersi. Fala palącego gorąca zalała jej ciało. Jej umysł przestał dostrzegać upływ czasu, niewiele brakowało, by Lina przestała też dostrzegać przestrzeń pod stopami. Miała wrażenie, że płynie, że jest poza granicami rzeczywistości, w stanie bliskim ekstazy. Nigdy w życiu nie słyszała niczego podobnego.

Kiedy muzyka ucichła i Prokofiew natychmiast zdjął ręce z klawiatury fortepianu, jakby zaczęła go parzyć, w Carnegie Hall zapanowała pełna napięcia cisza. Słyszać było jedynie ciężki oddech mistrza, zmęczonego wysiłkiem. Po kilku

sekundach sala eksplodowała zgiełkiem aplauzu. Na twarzy kompozytora pojawił się nieśmiały uśmiech. Prokofiew uniósł już teraz wzrok, potoczył nim po rzędach teatralnych foteli i kolejno, coraz wyżej, po wszystkich piętrach sali, aż dotarł do poziomu najwyższego – górnych łóż. Publiczność prosiła go, żeby powtórzył utwór raz jeszcze. Zmuszono go do siedmiokrotnego wyjścia na scenę. Lina nie mogła przestać klaskać – biła brawo tak energicznie, jakby zależało od tego jej życie. Dopiero potem zdała sobie sprawę, jak bardzo bołą ją dłonie, które z powodu tak gwałtownie wyrażanego aplauzu przybrały cynobrowy kolor.

Miała ochotę krzyczeć, skakać, pozwolić płynąć łzom i zapisać w swojej pamięci obraz tego wirtuoza uczuć, który stał teraz na środku sceny i raz za razem zginał ciało w nieco sztywnych ukłonach, wyglądających niemal na hołdy składane publiczności. W pewnej chwili, kiedy sylwetka artysty wyprostowała się po kolejnym ukłonie, Lina poczuła, że niebieskie oczy Prokofiewa napotyka ją wzrok. Przez chwilę w tej wymianie spojrzeń skoncentrował się dla niej cały wszechświat. Nigdy się nie dowiedziała, czy takie zdarzenie rzeczywiście miało miejsce, czy też była to oniryczna wizja podsunięta przez jej podniecenie – ale tak to wtedy odebrała. Kiedy minęły już magiczne sekundy, młoda kobieta zaczęła klaskać z jeszcze większą siłą i entuzjazmem niż poprzednio. Jakieś dwie panie, które przekroczyły już pięćdziesiątkę, ubrane ekstrawagancko i eksponujące kosztowną biżuterię, posłały jej zaniepokojone spojrzenie. Nie rozumiały zachwytu dziewczyny czymś, co ich zdaniem zasługiwało jedynie na uprzejme i powściągliwe uznanie.

– Spójrz, co za oczarowanie – powiedziała jedna z nich, która wydawała się starsza, być może za sprawą nieumiejętnego doboru czerwieni szminki. – Wygląda na to, że ktoś się dzisiejszego wieczoru zakochał.

Śmiechy towarzyszące temu komentarzowi ze złością Linę, która nie miała zwyczaju gryźć się w język, gdy czuła się zaatakowana. Olga, znająca gwałtowne reakcje córki w podobnych sytuacjach, nie miała nawet czasu interweniować, żeby zapobiec spodziewanej ripostie.

– Niech pani nie opowiada głupstw. Czy panie niczego nie rozumiały? – Kobiety odwróciły się, skryte za zasłoną szeptów i śmiechów. Lina zwróciła się ku Oldze i Wierze, szukając u nich zrozumienia. – Niczego nie rozumiały! Dwie stare krowy bez rozumu, za to z pretensjami do wykształcenia. O takich opowiada tata. Chyba przespały cały koncert. – Oczy Liny lśniły takim blaskiem, że cała jej twarz wydawała się rozpalona pochodzącym od nich ogniem, zupełnie jakby dziewczyna miała wysoką gorączkę. – Taki piękny rytm... ta umiejętność zaskakiwania... harmonia i język... energia... końcowa apoteoza. To była czysta doskonałość!

– Kochanie, uspokój się, bo coś ci się stanie – ostrzegała ją potem w szatni matka, dopinając ostatnie guziki płaszcza i wciągając na dłonie rękawiczki, po tym jak schowała program koncertu do małej welwetowej torebki.

– Nie jest znowu taki przystojny... – dodała cichym głosem z nutą przyjaznej ironii Wiera, która nie potrafiła ukryć, że rozgrywająca się na jej oczach scena ją bawi.

– Kto? – spytała Lina wojowniczo, nie kryjąc swoich emocji.

– Och! No proszę cię, Lina... K t o ? – żartowała sobie Wiera, przesadnie akcentując to krótkie słowo, którym dziewczyna próbowała zademonstrować udawaną ignorancję w tej sprawie. – Upprzedzam cię, że aby stać się znaną sopranistką, trzeba być dobrą aktorką. A ty w tej chwili nie grasz za dobrze.

Droga do domu była dla Liny męką, gdyż musiała znosić komentarze, spojrzenia i żarty swoich towarzyszek.

Trwało to jeszcze po powrocie, kiedy wszystkie trzy zasiadły w mieszkaniu Olgi i Liny przy herbacie, żeby dokończyć rozmowę o koncercie. Niezależnie od tego, ile starań Lina wkładała w wychwalanie wspaniałej techniki Prokofiewa, nieokrzesanego radykalizmu i niepokojącego wigoru jego muzyki, słyszała w kółko jeden komentarz:

– To oczywiste, kochanie, wynika to z twoich słów: nie zakochałaś się w nim, tylko w jego muzyce i w sposobie grania. To zawsze mija. Może ta myśl cię uspokoi...

Tej nocy, w odosobnieniu własnego pokoju i mając ciemność za najważniejszego sojusznika, Lina, tak jak uczyła ją babcia Karolina, zamknęła oczy i raz jeszcze wsłuchiwała się w piękną melodię, która zdołała dostarczyć jej więcej emocji niż jakakolwiek znana wcześniej muzyka.

Nie musiała czekać dłużej niż parę tygodni, żeby się przekonać, że tym razem los postanowił stać się jej sprzymierzeńcem. Był zimny poranek, jak zawsze w lutym w Nowym Jorku. Lina szła do pracy w finansowej dzielnicy miasta. Cieszyła się z niedawno powierzonych jej obowiązków. Zarabiała prawie dwadzieścia dolarów tygodniowo, co pozwalało jej zachować trochę pieniędzy na własne wydatki, obejmujące właściwie wyłącznie ubrania, czasopisma i muzykę. Szła szybkim krokiem, uciekając przed zimnem, choć zwracała baczną uwagę, by unikać zaśnieżonych i oblodzonych fragmentów chodnika. Nie była pewna, czy bardziej boi się grypy, czy siniaków, którymi jej ciało mogło się pokryć w wyniku głupiego i na dodatek zawstydzającego upadku na ulicy. Kiedy miała do przejścia już ostatni, krótki odcinek dzielący ją od schodów do metra, musiała zwolnić kroku. Przeszukiwała nerwowo kieszenie płaszcza, ale nie mogła znaleźć pięciocentowej monety potrzebnej do opłacenia biletu. Zawsze przygotowywała ją sobie poprzedniego dnia wieczorem. Zdjęła

rękawiczki, aby umożliwić palcom swobodniejsze poszukiwania. Bez rezultatu. Rozejrzała się wokół siebie, sprawdzając, czy moneta nie upadła na ziemię. W tym momencie usłyszała głos, który sprawił, że podniosła wzrok. Zobaczyła państwa Stahlów – małżeństwo odnoszące przeróżne sukcesy i dobrze znane w Nowym Jorku, nie tylko w kręgach rosyjskiej emigracji. Lina czuła głęboki podziw dla Very Janacopoulos, słynnej brazylijskiej śpiewaczki o pięknym głosie, która wyszła za Aleksieja Stahla, znakomitego rosyjskiego prawnika. Stahl zasiadał w rosyjskiej Dumie, ale wyjechał z kraju, kiedy do władzy doszedł Lenin i bolszewicy utworzyli rząd. Potrafił właściwie zinterpretować słowa wodza rewolucji rosyjskiej, który ostrzegał przed „niepewnymi elementami” i wzywał do odizolowania ich w łagrach. Stahl zachował w pamięci słowa dekretu wydanego przez Lenina 8 sierpnia 1918 roku: „Należy zorganizować specjalną straż złożoną z wyselekcjonowanych ludzi godnych pełnego zaufania, aby przeprowadzić kampanię zastraszania przez masy ludowe kułaków – chłopów i producentów rolnych będących właścicielami wielkich gospodarstw – kleru i Białej Gwardii. Wszystkich podejrzanych należy internować w obozach koncentracyjnych”. Aleksiej Stahl znalazł się na takiej liście podejrzanych. Wobec grożącego mu niebezpieczeństwa postanowił przedostać się na drugą stronę Atlantyku. Jak w przypadku wielu innych obywateli rosyjskich, celem jego ucieczki były Stany Zjednoczone.

Stahlowie przekonali Linę, by poszła z nimi na pierwszą tego dnia kawę. Aleksiej obiecał, że potem odwiezie młodą znajomą do pracy swoim samochodem. Vera Janacopoulos – czyli Vera Diva, jak mawiał o niej mąż – namówiła ją z kolei, żeby przyszła na bardzo szczególny recital, który miał się odbyć w nowojorskiej Aeolian Hall. Stahlowie znali osobiście kompozytora i chcieli go przedstawić Linie, bo była osobą bardzo interesującą, młodą i miała w mieście niewielu przyjaciół.

– Siergiej Prokofiew? – Lina powtórzyła nazwisko, obawiając się, że jej rumieniec będzie zanadto widoczny. – Byłabym zachwycona, uwielbiam jego muzykę. Niedawno widziałam go w Carnegie Hall. Ale nie chcę, żebyście mi go przedstawiali. Nie zniosłabym kolejnych żartów mojej matki i jej znajomych na temat tego, jaka jestem „zakochana w jego muzyce”. Nie wytrzymałabym tego.

Lina usłyszała śmiech Aleksieja, który z ironią w głosie wspomniął coś na temat wielkich problemów młodości, ale tym razem postanowiła nie wpadać w złość i ograniczyła się do wymiany porozumiewawczych spojrzeń z Verą. Resztę dnia spędziła w stanie absurdałnej szczęśliwości, z niemądrym uśmiechem na twarzy i z wyobraźnią krążącą nad miejscem położonym przy Czterdziestej Drugiej Ulicy w centrum Manhattanu. Postanowiła nic nie mówić matce. Przynajmniej na razie.

Zdecydowała się na prostą, ale elegancką suknię w kolorze ciemnoczerwonym z delikatną czarną lamówką. Na wierzch założyła futro z szynszyli, które miało ją chronić przed zimnem. Uwielbiała to okrycie, delikatne, eleganckie i skrojone tak, że idealnie dopasowywało się do jej figury. Był to prezent od ojca, który wkładała, chcąc uświetnić wyjątkowe okazje. Czymś takim właśnie był dla niej dzisiejszy koncert, niezależnie od tego, jak bardzo starała się to ukryć. Próbowwała przekonać samą siebie, że niepokój, który w niej narastał od chwili, gdy otrzymała zaproszenie od Stahlów, wynika jedynie z oczekiwania na muzykę rosyjskiego wizjonera. Ale nie zdołała się oszukać. Kiedy koncert miał się już rozpocząć, na moment przed zgaśnięciem świateł w sali, Lina wyjęła z torebki czerwoną szminkę i ukradkiem poprawiła kontur ust. Przez chwilę wstydziła się tego kokieteryjnego gestu, poczuła nawet, że się rumieni, czemu próbowała zapobiec, dotykając dłońmi twarzy.

Kiedy po koncercie Stahlowie zaproponowali, żeby udać się za kulisy, by przywitać się z Prokofiewem i pogratulować mu występu, Lina wymówiła się, twierdząc, że musi iść do łazienki, i zapowiadając, że zaczeka na Stahlów w holu. Vera uśmiechnęła się i matczynym ruchem poprawiła lśniące, fałiste włosy Liny.

– Zaraz wracamy, nie odchodź – poprosiła dziewczynę.

Sala koncertowa powoli pustoszała, w końcu także hol zaczął świecić pustkami. Zegarek pokazywał, że Lina czeka już ponad piętnaście czy nawet dwadzieścia minut. Przez chwilę bała się, że znajomi o niej zapomnieli, było to jednak mało prawdopodobne. Myślała też, że może wyszli innymi drzwiami i czekają na nią na ulicy. Kiedy już dostatecznie znużyło ją słuchanie stukania własnych obcasów o posadzkę, postanowiła pójść na poszukiwanie Stahlów. Podchodziła właśnie do bocznych drzwi prowadzących do jednej z sal, kiedy nagle ktoś je otworzył, uprzedzając Linę gotową już do ich pchnięcia. W ten oto sposób Siergiej Prokofiew po raz pierwszy wkroczył w jej życie: przez drzwi.

– Tu pani jest – zwrócił się do niej najsympatyczniejszym tonem, jaki Lina kiedykolwiek słyszała. Jego głos wywarł na niej duże wrażenie. Nie tak go sobie wyobrażała. Prawdę mówiąc, w ogóle go sobie nie wyobrażała. Prokofiew wydał jej się młodszy, niż gdy widziała go na scenie, lekko pochylonego nad fortepianem. Przez chwilę czuła, że może utonąć w intensywnym błękitcie jego oczu, jakby znalazła się na środku oceanu. Nigdy wcześniej nie widziała tak magnetycznego koloru tęczęwek.

– Pani przyjaciele mówili mi, że się pani przede mną chowa.

– Ja, ja... – Lina próbowała coś mamrotać, ale język jej się zaplątał, jakby słowa, które próbowała wypowiedzieć,

musiały toczyć walkę z innymi, w których zawarte były jej prawdziwe myśli.

Prokofiewa bawiła ta sytuacja. Wykorzystał kilka sekund zakłopotania dziewczyny, żeby przyjrzeć się jej urodzie, idealnym rysom jej anielskiej twarzy naznaczonej rumieńcem, który dodawał jej jeszcze uroku, i przede wszystkim pięknemu uśmiechowi, od którego nie mógł oderwać oczu.

– Przez chwilę myślałem, że mój występ panią rozczarował i pobiegła pani do domu.

– Nie! Byłam zachwycona – powiedziała w końcu, odzyskawszy pewność siebie, co nastąpiło, kiedy tylko przestała mieć poczucie, że jej spojrzenie stało się więźniem oczu młodego kompozytora. – Sądzę, że Rachmaninowa zagrał pan po mistrzowsku, chociaż co do Aleksandra Skriabina... Z punktu widzenia precyzji zabrakło może odrobinę wierności tekstowi... według mnie.

– Ależ wydaje mi się, że *Etiudę nr 12* zagrałem bardzo ekspresyjnie – odpowiedział Prokofiew, rozbawiony, ale też nieco zasmucony komentarzem pięknej dziewczyny. – Nie chcę się usprawiedliwiać, ale ten przeklęty fortepian był dla mnie zbyt twardy. To nowy steinway i o mało nie złamałem sobie na nim palca – powiedział, pokazując kciuk lewej dłoni. – W każdym razie kazali mi wychodzić na scenę i kłaniać się dziesięć razy przed przerwą i osiem razy na końcu koncertu, a trzy razy nie miałem innego wyjścia, jak tylko bisować. Nie wspomnę już o pięćdziesięciu osobach, które omal nie urwały mi ręki, składając gratulacje.

– Wiem o tym – rzuciła Lina. – Ja też tam byłam.

– Proszę powiedzieć, czy zawsze jest pani taka szczerą? I przede wszystkim – wtrącił jeszcze jedno pytanie, przecierając białą chusteczką swoje niewielkie okulary – czy zawsze się pani śmieje w taki sposób?

Mówiąc te słowa, nie mógł oderwać oczu od ust młodej kobiety.

– W jaki sposób? – chciała doprecyzować Lina, bardziej zaniepokojona niż zawstydzona.

– No w taki... Pani już wie. Tak jakby za każdym razem był to pierwszy śmiech w pani życiu.

– Tylko wtedy, kiedy muzyka zdoła obudzić we mnie takie uczucia, jakbym słyszała ją pierwszy raz w życiu. Tak jak wtedy, kiedy słuchałam w Carnegie Hall pana *I Koncertu fortepianowego*.

– Naprawdę? – spytał Prokofiew, nie ukrywając, że jej wyznanie napełniło go dumą. – Proszę powiedzieć: podobało się pani?

– Wpadłam w ekstazę. – Ta odpowiedź wprawiła kompozytora w zdumienie, a jednocześnie sprawiła mu radość. – Pierwszy raz w życiu słyszałam coś podobnego. – Wytrzymali wzajemnie swoje spojrzenia przez kilka sekund; Lina miała w tej sztuce znacznie więcej doświadczenia niż on. – Oczywiście trzeba pamiętać, że grał pan na głównej scenie Carnegie, a to daje pewną przewagę: akustyka tam jest tak dobra, że sala staje się dodatkowym instrumentem. Wszystko, co w niej rozbrzmiewa, ma dużą szansę przejść do wieczności.

– Więc ja nie miałem w tym żadnej zasługi?

Szelmowski uśmiech Liny rozświetlił jej spojrzenie; wydawało się, że ten blask oślepi Prokofiewa.

Z jednego z korytarzy zaczęły dobiegać odgłosy przyspieszonych kroków. Po chwili nadeszli Stahlowie, którzy nie mogąc doczekać się bohatera wieczoru, postanowili go poszukać.

– Wie pani – odezwał się znów kompozytor do Liny – zaraz pójde do Sherry's z paroma przyjaciółmi, żeby wypić kilka piw i zjeść trochę sera. Uwielbiam ser! Potem pogram

w brydża, a kiedy dotrę do domu, otworzę swój dziennik i opiszę dzisiejszy wieczór. Ale o pani chyba nie będę dziś pisał. Wolę poczekać do jutra.

– Prowadzi pan dziennik? Cóż za strata czasu! Mógłby pan w tym czasie napisać jakąś wspaniałą partyturę – odpowiedziała Lina.

– Skąd pani wie, że to, co zapisuję w tym zeszycie, nie jest równie wspaniałe?

Prokofiew schylił się, żeby ucałować jej rękę, która okazała się gładka i delikatna. Lina z kolei zauważyła, że dłonie Siergieja są starannie wypielęgnowane; ten szczegół pozytywnie ją zaskoczył. Nigdy wcześniej nie widziała u mężczyzny śladów manikiuru.

– W każdym razie robię to w dość szczególny sposób. Nie znajdzie pani na kartach mojego dziennika ani jednej samogłoski.

Lina podjęła tę uwodzicielską grę. Nie tylko nie była dla niej nieprzyjemna – jak zapewne by się działo w przypadku jakiegokolwiek innej osoby, która ośmieliłaby się powiedzieć jej coś takiego – ale wręcz ją bawiła.

– Ach, tu jesteście – odezwał się w końcu Aleksiej Stahl, który nadszedł, gładząc, jak to miał w zwyczaju, swoją rudą brodę, przedmiot jego wielkiej dumy. – Widzę, że już się poznaliście, więc nie muszę was przedstawiać. – Ani jego, ani Vera uwadze nie umknęły spojrzenia, jakie wymienili między sobą Prokofiew i Lina. – To dobrze. Skorzystam więc z okazji i zaproszę was oboje na weekend do naszego domu na Staten Island. Skrzyknęliśmy niewielką grupkę przyjaciół. Będzie miło. Starczy dla wszystkich wódki, podamy też wspaniałe brazylijskie danie, które Vera Diva przyrządza jak nikt inny. Więc jak? Mogę na was liczyć?

Lina nie chciała jeszcze potwierdzać swojej obecności, tłumacząc, że musi sprawdzić, jakie ma zobowiązania.

Jednak ledwo widoczny uśmiech Prokofiewa był odpowiedzialny za jej całkowitą pewność, że z zaproszenia skorzysta.

Nie było łatwo przekonać matkę, która nawet zadzwoniła do Stahlów, by potwierdzili, że podczas weekendu będą w ich domu także inni goście. Z pewnością nie bardzo jej się podobało, że córka przyjęła zaproszenie, ale rozumiała, że musi jej zaufać. Lina nie była już dzieckiem. Była dorosłą młodą kobietą, inteligentną, wykazywała niezwykłą jak na swój wiek dojrzałość oraz silnie rozwiniętego ducha niezależności, który niewątpliwie był owocem ciągłej nieobecności rodziców w czasach jej dzieciństwa. Źródłem największych obaw Olgi była uroda córki, zanadto fascynująca dla niedawno przybyłego z Rosji muzyka, głodnego nowych znajomości i „pozbawionego zbyt wielu znajomych w swoim wieku”. Olgę przekonały w końcu słowa Very Janacopoulos:

– Są młodzi, kochają muzykę, będą się dobrze bawić. Poza tym będziemy przez cały czas w pobliżu, więc nie masz się czym martwić.

Ale powody do zmartwienia były.

· 3 ·

Na widok śniegu czuła się zawsze tak, jakby ktoś pozbawił ją części duszy, a jednocześnie narzucał milczenie – ciężkie od nostalgii, wspomnień i tego szczególnego, tajemniczego doznania tkwiącego gdzieś we wnętrzu, trudnego do nazwania i niepokojącego. Być może lśniąca i nieskalana pokrywa, która okryła rozległą przestrzeń posiadłości wynajmowanej przez Stahlów, obudziła w niej wspomnienia dzieciństwa spędzonego w Rosji u dziadków: Karoliny i Władysława.

Zawsze wspominała lata dziecięce z szerokim uśmiechem na twarzy, pamiętając o szczęściu, którego doznawała w rodzinnym kraju. W jej głowie nabierały życia sceny z udziałem niespełna ośmioletniej dziewczynki, uradowanej z wizyty na trzecim piętrze wielkiego domu towarowego w Moskwie, do którego zabrała ją matka, żeby wybrać dla niej płaszcz – plisowany i z guzikami w kształcie liści – oraz czapkę z aksamitu, które miały ją chronić przed moskiewskim zimmem.

– Dostaliśmy go właśnie z Paryża – podkreśliła sympatyczna sprzedawczyni, która nawet nie zdawała sobie sprawy, że zasiała w małej dziewczynce pragnienie wyjazdu do tajemniczego miasta we Francji, gdzie szyją tak piękne płaszcze jak ten, który właśnie mierzyła. Jeszcze wiele lat później Lina zachowała jako amulet jeden z tamtych ślicznych guzików w kształcie liścia.

Nagle wzdrygnęła się, usłyszawszy za sobą głos Prokofiewa.

– W moim kraju, w Sankt Petersburgu, teraz zwanym Piotrogradem, podczas letniego przesilenia słońce zachodzi dopiero w nocy, a firmament wypełnia się wtedy światłem i barwi na kolory niebieski, fioletowy, złocisty oraz najrozmaitsze odcienie różu. Wydaje się wówczas, że niebo się otworzy i ukaże się raj. To *białyje noczi*, białe noce, podczas których słońce zachodzi dopiero o dziesiątej wieczorem i nigdy nie zapada całkowita ciemność. Miasto robi się bardziej romantyczne niż kiedykolwiek indziej.

Siergiej zamilkł na kilka sekund ze wzrokiem utkwionym w tym samym horyzoncie, który chwilę wcześniej obserwowowała Lina. Wydawało się, że szuka czegoś w pamięci; dziewczyna nie wiedziała, czy robi to po to, by o tym zapomnieć, czy aby trwać przy wspomnieniu.

– Wszystko oczywiście ma swoje wytłumaczenie – ciągnął Prokofiew. – Piotrogród położony jest na tak wysokiej

szerokości geograficznej, że słońce nie chowa się za horyzontem i nie pozwala nocnemu niebu ciemnieć. – Znów zamilkł. Lina patrzyła, jak po jego twarzy wędrują cienie, mimo jasności skóry. – „Jest coś nieopisanie wzruszającego w naszej petersburskiej przyrodzie, gdy z nadejściem wiosny okaże nagle całą swą moc, wszystkie dane jej z nieba siły, okryje się liśćmi, ubierze się, ubarwi kwiatami...” Podobna się pani Dostojewski? – spytał, przytoczywszy fragment *Białych nocy*.

– Mój dziadek Władysław dużo go czytał. Znał na pamięć całe fragmenty jego powieści. Próbował i mnie ich nauczyć, ale chyba wszystko zapomniałam. Byłam wtedy bardzo mała.

– Mamy jeszcze parę godzin do kolacji. Proszę powiedzieć, Lina: lubi pani spacerować?

Podczas gdy przyjaciele Stahlów komentowali w domu ostatnie wiadomości z wojny domowej toczącej się w Rosji, dwoje młodych dotarło do położonego w pobliżu rezydencji lasu. Nie przestawali mówić, żartować i dzielić się okruchami swojej przeszłości, w której próbowali znaleźć wspólne punkty. Siergiejowi pochlebiało, że piękna, młoda dziewczyna – półkrewi Hiszpanka – spotkana w Stanach Zjednoczonych mówi tak dobrze po rosyjsku; jeszcze bardziej schlebiał mu jej wyjątkowy zachwyty dla jego muzyki. Nie potrafił nic poradzić na to, że entuzjazm dziewczyny sprawia mu ogromną przyjemność.

– To wszystko dlatego, że nie czytała pani niektórych krytycznych recenzji publikowanych w prasie. – Próbował popisywać się skromnością, której tak naprawdę nie miał. – Może to i lepiej. Oszczędzę pani przykrości ich czytania. Różne recenzje wyrażają różne upodobania. „Brooklyn Daily Eagle” twierdzi, że właściwie miałem być lwem rewolucji muzycznej, ale w dniu koncertu ten lew zaryczał tak

delikatnie jak łagodna gołębica. Inni mówią o lawinach chromatyzmu w czarnych klawiszach i oazie spokoju w białych. Ale najzabawniejsi są ci z „New York Timesa”. Jak zawsze! Nazywają mnie psychologiem najwstrętniejszych emocji, takich jak nienawiść, wściekłość, gniew, i określają moją muzykę jako piekielną miksturę przyrządzoną w kotle czarownic. – Popatrzył na Linę, oczekując z jej strony jakiejś reakcji na te słowa. – Nie śmiesz to pani?

– Śmieszko, kiedy czytałam to po raz pierwszy. – Ta odpowiedź znów miło polechtała ego Prokofiewa. „Więc ta ślicznotka interesuje się mną, przejmuje się tym, co o mnie piszą”. – Ale są jeszcze lepsze recenzje. Mnie najbardziej podobala się ta, w której napisali: „Weź jednego Schönberga, dwóch Ornsteinów, trochę Satiego, wymieszaj to wszystko starannie z Medtnerem, dodaj kroplę Schumanna, pełen kubek Skriabina i Strawińskiego, a otrzymasz coś zbliżonego do Prokofiewa”. Przynajmniej dobrze zapisali pana nazwisko, co w tym kraju nie zawsze się gazetom zdarza. – Ich spojrzenia spotkały się na kilka chwil. – Naprawdę jest dla pana ważne, co piszą recenzenci?

– Wcale nie. Przeciwnie, bawią mnie. Mam tak od dziecka. Kiedy byłem studentem konserwatorium w Sankt Petersburgu, najmłodszym i najbardziej kreatywnym, jeśli pozwoli pani, że tak się określe, profesorowie odrzucali mój sposób rozumienia muzyki i komponowania, mój sprzeciw wobec konserwatywnych idei. Stawiali mi zaniżone oceny, karali mnie, oskarżali o brak szacunku dla kultury, dla tego, co nazywali świętą tradycją. Sądzę, że nie byli gotowi na moją muzykę. Nie obwiniam ich. Nie wiem też, czy świat już jest na nią gotowy.

Uśmiechnął się w wymuszony sposób i zamilkł, z nostalgią rozpamiętując tamten etap życia, tak wyraźny w jego

pamięci. Koncert w Carnegie Hall przywołał jedno z jego najwcześniejszych wspomnień, z 1914 roku, kiedy zdobył Nagrodę Rubinsteina w klasie fortepianu i ku zaskoczeniu wszystkich, zamiast zagrać klasyczny koncert, wykonał swoją własną muzykę: *I Koncert fortepianowy*. Wciąż sprawiało mu przyjemność przypominanie sobie momentu, kiedy wszedł na scenę i zobaczył, jak dwadzieścioro członków jury otwiera trzymaną na kolanach partyturę. „Niezapomniany widok dla kompozytora, który właśnie opublikował swój utwór” – zapisał tego dnia w swoim dzienniku. Nie wszyscy rozumieli jego muzykę, ale nie sposób było jej nie podziwiać. Matka Siergieja postanowiła, w nagrodę za odniesiony sukces, zafundować mu podróż do Londynu, którą rozpoczął w czerwcu 1914 roku. Już w następnym miesiącu wybuchła wielka wojna. Wszystko to wydawało się teraz tak odległe, a jednocześnie tak bliskie. Siergiej zamknął oczy i zaczął głęboko wdychać zimne powietrze, które ożywiło jego płuca i pomogło oddalić niektóre widma przeszłości, nawiedzające go z nadmiernym uporem.

– Lubię to czyste powietrze, którym się tu oddycha. Wszystko jest takie piękne – skomentowała Lina, zakłopotana przedłużającym się milczeniem.

– Ale nie tak jak okolice Piotrogradu. – Głos Siergieja znów stał się melancholijny, można też było odnieść wrażenie, że jego wzrok zagłębia się w całkiem inny pejzaż niż las, przez który teraz szli.

– Tęskni pan za Piotrogradem? – Lina odczekała kilka sekund, zanim ponowiła pytanie. – Brakuje panu kraju?

– Brakuje mi bliskich, matki... To skomplikowane.

Wspomnienie matki, Marii Grigoriewny, wywołało u Prokofiewa atak melancholii. Cierpiał na nią dość często, choć niewiele osób o tym wiedziało. To matka pomogła mu odnaleźć powołanie artysty. Kiedy była z nim w ciąży, po

tym jak straciła dwie małe córeczki, ciągle grała na fortepianie. Był to jej sposób na oderwanie się od niepokojów, które pod koniec XIX wieku targały światem, gotowym otworzyć się na rozmaite awangardy. Siergiej przyszedł na świat 23 kwietnia 1891 roku w małej ukraińskiej wiosce Soncowka. Ojciec opowiadał mu potem, że po raz pierwszy doprowadził swoją matkę do płaczu ze wzruszenia w wieku zaledwie dwóch lat, kiedy to wdrapał się jakoś na wysokość klawiatury fortepianu i położył malutkie rączki na klawiszach, wydobywając z nich swoje pierwsze dźwięki. Koncentrował się na białych klawiszach, bo czarnych nie sięgały jego małe paluszki. Kiedy w wieku pięciu lat skomponował swój pierwszy utwór na fortepian, *Indiański galop*, przyjaciele Marii z konserwatorium zaczęli jej mówić, że ma u siebie w domu nowego Mozarta. To ona była jego pierwszą miłością, wyznaczyła kierunek całego jego życia, gdy pewnego dnia wzięła dziewięcioletniego chłopca za rękę i zaprowadziła go do moskiewskiego teatru Bolszoi na operę. Po tej pierwszej przyszło zresztą wiele kolejnych: *Faust*, *Książ Igor*, *Śpiąca królewna*. Tamtego wieczoru mały Siergiej zaczął tworzyć szkic operowy na głos i fortepian – *Olbrzym*, a rok później, w wieku dziesięciu lat, skomponował kolejną operę, *Na bezludnych wyspach*. To właśnie wtedy matka zrozumiała, że nie należy kiełznać porywczego ducha chłopca, jego zmysłu krytycznego, muzycznego buntu i chęci zerwania z tym, co zastane. Siergiej zawsze powtarzał, że prawdziwą wizjonerką w ich rodzinie była matka, a nie on. To ona przekonała go, żeby wyjechał z Rosji, co nastąpiło 17 maja 1918 roku. Oczy tej odważnej kobiety oglądały już zbyt wiele okrucieństw popełnianych podczas rewolucji rosyjskiej. W dniu, w którym wybuchła rewolucja 1917 roku, Piotrogród został obsadzony przez czterdzieści tysięcy funkcjonariuszy carskiej policji. Maria nie

rozumiała polityki, ale rozumiała życie. Kiedy zobaczyła, jak ludzie podążający – za przewodem strajkujących robotników z przemysłowych dzielnic miasta – na manifestację przez jeden z mostów zostali zaatakowani przez konne siły porządkowe i zmasakrowani, wiedziała, że sprawa na tym się nie skończy. Piotrogród potrzebował trzech dni, żeby pomścić ofiary policyjnej akcji. Gdy to się działo, Siergiej brał udział w wieczorze muzyczno-literackim wraz ze swoim przyjacielem, pisarzem Maksymem Gorkim. Było mu z tego powodu przykro, tak samo jak wtedy, kiedy się dowiedział, że w Moskwie odgłosy wystrzałów mieszały się z ciągłymi okrzykami: „Niech tu przyjdą, niech tu przyjdą”, które słychać było na ulicach. Te ulice wkrótce pokryły się trupami, a ambulanse nawet nie próbowały ich zbierać. Ludzie bali się bowiem, że znajdą się na celowniku karabinu wciśniętego w dłoń jakiegoś nieszczęśnika, któremu bolszewicy kazali strzelać do wszystkiego, co się rusza. Klęska Rosji w wielkiej wojnie, poczucie, że armia rosyjska zmierza ku pewnej zagładzie, upadające morale oddziałów, choroby i głód dziesiątkujące lud rosyjski – wszystko to stanowiło skuteczną pożywkę dla rewolucji. Jej wybuch i późniejsza wojna domowa zaskoczyły Siergieja i jego matkę na przedmieściach Moskwy, ale szybko przeniosły się do Piotrogradu. Milion ludzi pochowało się w domach, obawiając się strzałów, które siały większe przerażenie niż głód i niż tyfus zaczynające przekształcać Moskwę w ogromne cmentarzysko. Maria nie chciała, żeby jej syn musiał ponownie oglądać na własne oczy sceny podobne do tej, której świadkiem stał się pewnego dnia i która na kilka godzin odebrała mu mowę: widział strumień krwi wypływającej z rany człowieka, do którego przed chwilą strzelano – strumień krwi, która w ciągu kilku sekund zamarzała na śniegu, łamiąc jego biel. Ten koszmarny obraz wciążył

tkwił przed oczami Siergieja, jakby został wypalony w jego mózgu. Maria chciała oszczędzić synowi okropieństw wojny i życia w świecie racjonowania żywności, przepustek, pozwoleń, rekwizycji i zakazów – a w taki właśnie świat przekształciła się Moskwa. Matka Siergieja mogła znieść wszystko, ale przecież jej syn urodził się po to, żeby świat słuchał innych dźwięków, przeżył inną rewolucję, niemającą nic wspólnego ze strachem, z odgłosami strzałów ani z czerwonymi sztandarami powiewającymi na budynkach. Coś podobnego mówił nowy komisarz ludowy do spraw kultury, Anatolij Łunaczarski, kiedy spotkał się z Siergiejem. Prokofiew miał żal, że premiera jego opery *Gracz*, opartej na powieści Fiodora Dostojewskiego, zaplanowana na 1917 rok, została zawieszona ze względu na wybuch rewolucji lutowej.

– Jesteś rewolucjonistą w dziedzinie muzyki. My jesteśmy rewolucjonistami w życiu. Powinniśmy współpracować, ale jeśli masz ochotę emigrować do Ameryki, ja ci nie będę tego utrudniał – powiedział mu Łunaczarski.

Kilka miesięcy wcześniej ten robiący szybką karierę polityk – a wcześniej krytyk sztuki i dziennikarz – zainspirował proces sądowy przeciwko Bogu, którego oskarżono o zbrodnie przeciw ludzkości. Na ławie oskarżonych umieszczono Biblię. Wyrok wykonano o szóstej trzydzięci rano 17 stycznia 1918 roku: w niebo nad Moskwą wystrzelono pięć serii z karabinów maszynowych.

Nie można powiedzieć, że Siergiej nie lubił polityki. Raczej nie lubił o niej mówić – może dlatego, że nigdy jej nie rozumiał ze względu na absurdy, którymi często była nasycona. I nie potrafił jej pojąć, nawet gdy mógł już patrzeć z perspektywy, którą uzyskuje się z biegiem lat. Ani w rodzinnej Rosji, ani w Nowym Jorku, a jeszcze mniej w tamten weekend na Staten Island.

– Straszne jest to, co się wydarzyło w Piotrogradzie. Lepiej o tym nie myśleć. Mam tylko nadzieję, że moi bliscy i przyjaciele nie ucierpieli. – Siergiej znów skierował wzrok na ogołoczone z liści drzewa, ukazujące swoje rachityczne, nagie pnie.

Po chwili napotkał spojrzenie Liny, które zdawało się w milczeniu towarzyszyć Siergiejowi w trakcie tej krótkiej, ale rozdzierającej serce przechadzki po wspomnieniach.

– Chyba się zgubiliśmy. A jak znam Stahlów, wcale nie zaczną nas szukać. Lepiej spróbujmy więc sami odnaleźć drogę. Poza tym umieram z głodu.

Po raz pierwszy świadomość zagubienia nie przerażała Liny, która z ochotą przyjęła ramię Siergieja, po czym oboje kontynuowali marsz.

Weekend upłynął w miłej atmosferze. Wydawało się, że Siergiej postawił sobie za cel zaskakiwanie Liny i być może właśnie to pragnienie doprowadziło w niedzielę rano do niefortunnego incydentu. Goście Stahlów postanowili wybrać się na przejażdżkę łódkami zacumowanymi przy pomoście w małym zakolu rzeki niedaleko domu. W trakcie przejażdżki kompozytor zaczął się zachowywać całkiem jak dziecko, uderzając swoją łódką w inną – tę, którą płynęła Lina. Młoda kobieta wpadła w złość, próbując nakłonić Siergieja, żeby zaprzestał infantylnej zabawy.

– Doprowadzi pan do tego, że wpadniemy do wody! Tego pan chce?

– O co tyle hałasu? Czy pani nie umie pływać, panno Linette? – odpowiedział wyzywającym tonem.

– Umie doskonale, panie Prokofiew.

– Więc będzie mi pani musiała to zademonstrować – odparł i ponownie zaatakował łódkę Liny. Uderzenie sprawiło, że siedząca dziewczyna upadła na plecy na wąską drewnianą ławeczkę, biegnącą w poprzek łódki mniej więcej w połowie

jej długości. Widząc upadek Liny, Siergiej wybuchnął głośnym śmiechem, powodując jeszcze większe – może trochę przesadne – wzburzenie młodej kobiety.

– *Vous êtes méchant!*¹ – rzuciła po francusku, choć ton jej głosu nie był spójny z jasnym blaskiem oczu.

– Czego oczekujesz od Rosjanina, który wyruszył w drogę ku sławie geniusza i który nigdy nie zajmował się niczym innym poza muzyką? W ten sposób cię kokietuje, drogie dziecko – wyjaśniała jej potem miss Janacopoulos, jak mówił na nią Prokofiew. – Tacy oni są. Wierz mi, mam spore doświadczenie, jeśli chodzi o faunę żyjącą na rosyjskich stepach – dodała, rzucając znaczące spojrzenie Aleksiejowi, swojemu mężowi.

Obie kobiety zaczęły się śmiać z niedawnego zdarzenia. Lina nadal przyglądała się Prokofiewowi. Rozumiała, że musi trochę potrwać, zanim Siergiej pozbędzie się niedojrzałości, którą zwykły wykazywać cudowne dzieci. Miała wrażenie, że – zgodnie z tym, co jej wielokrotnie mówiono – również Siergieja w dzieciństwie życie zanadto rozpieszczano. Może dlatego czuła z nim taką bliskość, choć teraz akurat płynęli w osobnych łódkach.

Kiedy towarzystwo zjadło suty posiłek, Siergiej zdał sobie sprawę, że musi okazać Linie serdeczność, żeby zrekompensować jej swoje zachowanie podczas wycieczki po rzece. Korzystając z faktu, że większość gości opowiedziało się albo za spacerem po okolicy, albo za sjestą w bibliotece z książką w rękę, albo też za odpoczynkiem w rozwieszonych na werandzie hamakach – pod kocem i z filiżanką gorącej herbaty – kompozytor postanowił zaprosić Linę do salonu, w którym na honorowym miejscu stał ogromny fortepian.

¹ Jest pan niegodziwy! (jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

– Ma pani kilka minut? – spytał ją, mobilizując całą swoją uprzejmość, którą kilka godzin wcześniej utracił, płynąc łódką. – Chciałbym, żeby pani czegoś posłuchała.

Usadowił swoje niezgrabne ciało przy fortepianie i zanim zbliżył dłonie do klawiatury, odwrócił się jeszcze raz do Liny, mówiąc:

– Specjalnie dla pani. Nie co dzień to robię. Jest pani gotowa? – uśmiechnął się, widząc, jak Lina kiwa głową. – Obawiam się, że nie, więc lepiej będzie, jak się pani rozsiądzie wygodnie.

Ręce Siergieja dotknęły klawiszy fortepianu tak jak dłonie artysty dotykają kamienia, który zaczynają rzeźbić. Muzyk zaczął grać własny *II Koncert fortepianowy*. Jego umysł przeniósł się w czasy, w których utwór powstawał: śmierć ojca, zapowiedzi nadchodzącej wielkiej wojny, w ogniu której miał spłonąć świat, a przede wszystkim samobójstwo Maximiliana Schmidthofa, jednego z najserdeczniejszych przyjaciół Siergieja, który do niego właśnie zaadresował swój pożegnalny list. Kiedy występ się skończył, wydawało się, że muzyk wraca po krwawych zmaganiach na odległym bitewnym polu.

Lina była nieomal w ekstazie. To nie była muzyka, to coś znacznie więcej. Pierś Liny gwałtownie falowała, jakby kadencja pierwszej części i wirtuozeria scherza wyznaczyły rytm jej oddechu. Choć próbowała coś powiedzieć, słowa nie chciały przejść jej przez gardło. Całkiem oniemiała od sekwencji nut, tonów, kadencji...

– To policzek wymierzony gustowi publiczności. Tak powiedzieli, kiedy wysłuchali tego po raz pierwszy. Niektórzy wychodzili z sali w czasie koncertu z okrzykiem: „Niech piekło pochłonie tę futurystyczną muzykę, koty na dachu robią lepszą”. Wciąż jeszcze wspomina się skandal, który wtedy wywołałem. – Takie były pierwsze słowa wypowiedziane

przez Siergieja, kiedy znowu unormował mu się puls, przyspieszony przez wysiłek grania.

Uśmiechnął się, widząc działanie czaruru, który rzucił na swoją jedyną słuchaczkę.

– Powinna pani oddychać, moja droga, jeśli chce pani nadal żyć – powiedział w reakcji na trans, w jaki wpadła jego najbardziej zagorzała wielbicielka. Awangardowy charakter utworu najwyraźniej jej nie tylko nie zbulwersował, ale wręcz ją zafascynował.

Kiedy Siergiej usadowił się wygodnie na stołku, przyjmując typową dla siebie pozycję – ze skrzyżowanymi nogami, jednym ramieniem opartym na klawiaturze i drugim swobodnie podpierającym bok – przechylił lekko głowę i przyszykował się na przyjęcie z ust Liny spodziewanej długiej serii hymnów pochwalnych. Nagle poczuł w skroniach silny, przeszywający ból, na tyle gwałtowny, że złapał się rękami za głowę, jakby się bał, że ona za chwilę eksploduje. Z ust wyrwał mu się głośny, chrapliwy jęk. Kartki partytury ustawione na podpórce z przodu fortepianu rozsypały się po podłodze, a z wnętrza instrumentu dobiegł głośny łoskot wywołany osunięciem się Siergieja na klawiaturę – tak jakby klawisze wydały z siebie taki sam okrzyk strachu jak ten, który wydobył się z gardła Liny.

– Siergiej, co z tobą?

W jej głosie słyhać było lęk. Podbiegła do Prokofiewa z taką szybkością, jakby od jej pomocy zależało jego przetrwanie. Była przerażona jak rzadko kiedy w życiu.

– Co mogę zrobić? Powiedz, co mogę zrobić!

Po kilku sekundach rozpaczy, kiedy nie wiedziała, jak zareagować, w końcu usłyszała słowa Siergieja.

– Nie bój się – prosił, podczas gdy intensywny ból po prawej stronie twarzy ustępował. – Cierpię na straszliwe

migreny, którym moja muzyka najwyraźniej nie podoba się tak jak tobie.

Na chwilę zapomniał o powracającym lęku przed dolegliwością, która męczyła go od lat. Czasami nie pozwalała mu komponować ani dotykać fortepianu. To samo działo się z jego rodakiem i przyjacielem Siergiejem Rachmaninowem, któremu silne nerwobóle – pozostałość po zapaleniu nerwu trójdzielnego – ograniczały możliwości twórcze. Lęk przed tymi cierpieniami był częścią całego zespołu obsesji Prokofiewa. Podnosząc wzrok, dostrzegł zatroskanie na twarzy Liny. To wyzwoliło w nim przyływ czułości, do której nie był zanadto przyzwyczajony.

– Naprawdę mi przykro, że cię zmartwiłem – wyznał, sięgając po okulary, które w trakcie ataku zsunęły mu się z nosa, ale szczęśliwym trafem nie spadły na podłogę.

– Pozwól, ja to zrobię – poprosiła, wyciągając chusteczkę, żeby wyczyścić szkła. Miała wrażenie, że za chwilę się rozpłacze. To uczucie ją zawstydzalo, chociaż w końcu udało się je pokonać. – Śmiertelnie mnie przestraszyłeś. Nie rób tego więcej – powiedziała, nie ośmielając się spojrzeć mu w oczy, bo nie chciała oglądać uprzedzająco grzecznej miny Siergieja.

– Wiesz, co mi najlepiej robi na te okropne nerwobóle? Dobra, gorąca czekolada.

Kiedy Lina szła do kuchni, żeby przygotować lekarstwo zasugerowane przez Siergieja, dotarł do niej jego głos, który sprawił, że zatrzymała się i odwróciła.

– Cieszę się, że przeszliśmy na ty. Miałem już wrażenie, że jestem uwięziony we wnętrzu suity *Goyescas* Granadosa i nie mogę z niej wyjść.

Linę pozytywnie zaskoczyło odniesienie do hiszpańskiego pianisty i kompozytora. Woląла myśleć, że te słowa wynikają raczej z chęci Siergieja, żeby sprawić jej przyjemność, niż ze wspólnej pasji do muzyki.

Kiedy Lina wróciła do domu po pierwszym weekendzie spędzonym w rezydencji Stahlów, wiedziała już, że w jej życiu wydarzyło się coś bardzo ważnego. Zakochała się bezgranicznie w Siergieju Prokofiewie, przy czym przerażało ją, że sama nie wie, czy to uczucie skoncentrowane jest na nim, czy na jego muzyce. Ale nie było to dla niej najważniejsze, inaczej niż dla jej matki, która nie potrzebowała dużo czasu, żeby właściwie odczytać błysk pojawiający się w spojrzeniu córki.

– Nie podoba mi się twój wyraz twarzy – powiedziała, zdając sobie sprawę, że Lina nie zawsze słucha jej rad. – Chciałabym, żebyś była ostrożna.

– W sprawie grypy czy polityki? Na co mam tym razem uważać? – spytała niezbyt grzecznie Lina.

– Na swój ton, młoda damo. Na ton, który często cię gubi.

Matka i córka wzajemnie się uwielbiały, ale miały na tyle podobne charaktery, że często dochodziło między nimi do kłótni, w trakcie których jedynie ojcu Liny udawało się skutecznie mediować – o ile tylko był w domu. Obie były uparte, miały żywy temperament, łatwo wpadały w złość i lubiły demonstrować swoją wolność i niezależność. Kiedy któraś wbiła sobie coś do głowy, dążyła do celu, nie bacząc na koszty. Prawdziwe problemy pojawiały się wtedy, kiedy Olga pragnęła czegoś całkiem przeciwnego niż Lina. Siergiej Prokofiew – od chwili, w której zjawił się w życiu obu kobiet – stał się źródłem nieustającego konfliktu między nimi.

– Chcę go poznać – rzuciła matka. Linę całkiem zamurowało. – Chcę, żeby przyszedł do tego domu, i chcę z nim porozmawiać. I chcę, żeby mi wyjaśnił, jakie ma zamiary.

– Kogo chcesz poznać? – spytała Lina, zaskoczona nieoczekiwanym życzeniem matki, najwyraźniej wypowiedzianym całkowicie poważnie.

– Nie wiesz kogo? Będziesz musiała przestać używać w odniesieniu do niego tego zaimka. Już nikt w to nie wierzy.

Lina roześmiała się w duchu. Prokofiew sprowadzony do roli zaimka. Podobała jej się ta semantyczna metamorfoza, za którą była odpowiedzialna wyłącznie ona.

· 4 ·

Weekendowe spotkania w domu Stahlów w tamtym zimnym 1919 roku przekształciły się w stały zwyczaj, z którego żadne z nich dwojga nie chciało rezygnować. Dla Siergieja te dni odpoczynku i rozluźnienia były idealną ucieczką, której potrzebował, poza tym sprawiało mu przyjemność towarzystwo „nowej wielbicielki”, jak zwykł określać Linę wśród przyjaciół.

– Wydaje mi się, że od dawna nikt mnie tak nie kochał jak to czarujące dziecko. Zawsze czegoś takiego poszukiwałem i nigdy nie udawało mi się znaleźć. Ale dużo w niej rezerwy. Niegrzeczne dziecko, nie chce przyjść do mnie do domu.

Aleksiej patrzył wtedy na niego z miną szczerwanego lisa, z którą harmonizowała ruda broda.

– Jestem przekonany, że to tylko pozory. Daj jej trochę czasu. Akurat ty, przyjacielu, powinieneś umieć panować nad kadencją aż do samego końca, jesteś przecież ekspertem – mawiał, opróżniając kieliszek wódki, który rzadko wypuszczał z dłoni.

Lina wiedziała, że jest bezgranicznie zakochana w mężczyźnie, który był od niej o sześć lat starszy, choć wyraźnie już widoczne początki łysienia sprawiały, że różnica wieku wydawała się większa. Chciała z nim przebywać, pragnęła go. Liczyła dni, godziny i minuty, które pozostawały do

chwili, kiedy znów mieli być razem. Tęskniła za dzwonkiem telefonu oznajmiającym kolejne spotkanie. Z większą ochotą chodziła na lekcje śpiewu, w jej interpretacjach było teraz więcej życia i nawet jej nauczycielka, nieskora zwykle do zbędnych pochwał, pogratulowała Linie nowych subtelności, które pojawiły się w jej głosie.

Oboje czekali na chwile, kiedy będą razem. W trakcie pierwszych miesięcy znajomości rezydencja na Staten Island przekształciła się w ich tajną kryjówkę. Ponieważ dom Stahłów zawsze był wypełniony przyjaciółmi, stał się też idealnym alibi dla pragnącej spędzać ze sobą czas pary, która zresztą dość szybko wykorzystywała jakiś moment, żeby na długie godziny zniknąć z oczu pozostałym gościom: Lina z Siergiejem chodzili na długie spacerunki po zamrażonym ogrodzie, jesienią zbierali liście, tworzące u ich stóp gruby pomarańczowy dywan, przyglądali się gwiazdom, o których Lina opowiadała najróżniejsze historie. Siergiej z trudem odrywał wówczas od niej wzrok. Oboje lubili też rozmawiać w przytulnej bibliotece gospodarzy o swoich upodobaniach literackich.

– Spróbuj Kanta albo Freuda. Obaj są interesujący. Zawsze odkrywasz w swojej głowie coś nowego, czego zupełnie się tam nie spodziewałaś – radził Linie erudyta Prokofiew, który od zawsze był pozeraczem lektur.

Każdego dnia ich światy przenikały się coraz bardziej i to sprawiało, że oboje czuli się jako para coraz swobodniej w obecności innych osób. Nie mieli ochoty obnosić się ze swoją przyjaźnią, ale coraz mniej przejmowali się tym, że widziano ich razem. Pewnego popołudnia Stahłowie postanowili rozpaść w przydomowym ogrodzie ogromne ognisko. Lina i Siergiej zebrali mnóstwo suchych liści, do których oboje mieli słabość i którymi potrafili się bawić długie godziny. Zaczęli je palić. Tego dnia było dość zimno

i dlatego rzucając je w płomienie, podchodzili bardzo blisko do ogniska, którym zajmował się Aleksiej, pilnujący, by dokładać drewna i by dym nie dusił zgromadzonych gości. Rozbłyśki płomieni pożerających suche liście odbijały się na twarzach Liny i Siergieja. Od niej, owiniętej kaszmirowym szalem, który Siergiej przyniósł jej z wnętrza domu, bił prawdziwy blask. Przez dłuższą chwilę Prokofiew nie mógł oderwać od niej oczu. Chciał na zawsze zachować ten obraz w głowie. Dlatego bardzo spodobał mu się pomysł Very, żeby zrobić zbiorowe zdjęcie.

– Tak będzie dobrze. Teraz się uśmiechnijcie, nie krępujcie się – poprosiła gospodyni z tym swoim szczególnym brazylijskim akcentem, którego nie potrafiła się pozbyć, zwłaszcza gdy czuła się rozluźniona. – Siergiej, czemu ty zawsze musisz trzymać coś w rękach? – strofowała go. – Czy mógłbyś odłożyć grabie i objąć Linę?

Kłęb gęstego dymu, który właśnie wydobył się z ogniska, sprawił, że część fotografii jest nieco zamglona. Ale można na niej zobaczyć, jak Siergiej wypełnia zalecenia Very: jego dłoń wydaje się delikatnie gładzić po głowie stojącą obok kobietę. Przez lata, na rozmaitych etapach życia Lina przyglądała się temu zdjęciu. I zawsze wypowiadała ten sam komentarz, który przyszedł jej do głowy, kiedy po raz pierwszy wzięła fotografię do ręki: „On stał w tej mgłę, a ja obok niego; on jak wojownik Walkirii, który ocalił mnie przed stołem pogrzebowym”.

Siergiej znał marzenia Liny, która pragnęła zostać sławną śpiewaczką operową, i zaczął się interesować jej postępaniami wokalnymi, choć nie zawsze robił to w najlepszym stylu. Pewnego razu, kiedy towarzystwo w poobiedniej porze zgromadziło się wokół kominka Stahlów, zapytano Linę, jakiego utworu uczy się obecnie. Okazało się, że jest na etapie

bardzo dramatycznego romansu Antona Rubinsteina *Noc*. Widząc wśród nielicznego audytorium żywe zainteresowanie utworem, Lina, zachęcana przez obecnych, przemogła początkową nieśmiałość i zaczęła śpiewać. W pewnej chwili przerwał jej stanowczy głos Siergieja.

– To nie tak idzie – powiedział, siedząc w jednym z najbardziej oddalonych foteli salonu. Jego słowa zabrzmiały jak wyrok sądu wojskowego. – Powinno być inaczej. Źle to śpiewasz.

– Nieprawda – odpowiedziała zagniewana Lina, która nie była pewna, czy bardziej boli ją ton Siergieja, czy wstyd, który odczuwa. – Tak właśnie uczę się z matką. Myślę, że ona dostatecznie dobrze zna ten utwór. Śpiewała go wiele razy na różnych scenach Europy.

– Ani słowa tak nie idą, ani muzyka. – Siergiej wstał ze złością z fotela, skierował się do fortepianu i akompaniując sobie, zaczął przy nim śpiewać romans, który stał się kością niezgody.

– A teraz ja nie rozpoznaję ani jednej nuty, którą grasz. A jeszcze mniej to, co śpiewasz. – Lina ironicznie skomentowała okropny głos Prokofiewa.

– Tak przynajmniej było zapisane przez autora w oryginalnej wersji.

– To chyba pierwszy raz, kiedy raczysz kierować się tradycją... – wytknęła mu Lina, wiedząc, że te słowa, wypowiedziane akurat w tym momencie, mogą mieć niszczycielską moc. Tego ranka bowiem w „Tribune” ukazała się recenzja uznająca Prokofiewa za ultramodernistę pozbawionego wszelkiego szacunku dla tradycji muzycznej.

Wymiana słów trwała jeszcze kilka chwil, a towarzyszył jej pojedynek na niechętne miny, nabierający coraz większej intensywności. Siergiej i Lina rzucali sobie złowrogie spojrzenia. Na kilka sekund zapadła krępująca cisza. W tym

czasie niektórzy goście nieznacznie zerkali po sobie i wymieniali ledwo widoczne uśmiechy wtajemniczenia.

– No już, już... Nic się nie dzieje. Kłótnia zakochanych – wtrącił się Aleksiej, za co został obrzucony pełnym dezaprobaty spojrzeniem żony. – Nie wtrącajmy się, to sprawy tych dwojga – upierał się na przekór wszystkim.

Lina nie była w stanie zrozumieć reakcji Prokofiewa. Wyszła z pokoju, starając się powstrzymać łzy wściekłości dławiącej jej gardło. Komentarz Aleksieja bez wątpienia wzmocnił jeszcze plotki, które i tak już zaczynały krążyć po mieście i które stawiały ją – pannę żyjącą na początku XX wieku – w bardzo niezręcznej sytuacji. Ale jeszcze bardziej bolało ją niesprawiedliwe i niegrzeczne zachowanie Siergieja. Miała ochotę podbiec do niego i wymierzyć mu policzek, ale powstrzymała się, bo wiedziała, że stając z nim twarzą w twarz, musiałaby zapanować nad swoimi prawdziwymi emocjami, które niekoniecznie popychały ją do uderzenia go. Od tygodni ośmielała się myśleć, jak mógłby wyglądać ich pierwszy pocałunek, wyobrażała go sobie podczas bezsennych nocy, jednocześnie tłumiąc w sobie pewne towarzyszące tym wizjom myśli, od których oblewała się rumieńcem. Ale było dla niej jasne, że to nie ona powinna zrobić w tej sprawie pierwszy krok. Poza tym była wściekła na gwałtowną reakcję kompozytora, tym bardziej że ten publiczny występ sporo ją kosztował. Musiała poznać jeszcze wiele szczegółów dotyczących osobowości i życia człowieka, który wyrzucił jej świat do góry nogami, ale nie chciała się od niego oddalać. Nie wiedziała na przykład nic – albo prawie nic – na temat nienawiści, jaką Siergiej odczuwał do Antona Rubinsteina, fundatora konserwatorium w Sankt Petersburgu i kluczowej postaci w świecie rosyjskiej edukacji muzycznej. Nie miała też pojęcia, że jako dziecko Siergiej prosił matkę, żeby nie

grała *Nocy*, który to utwór w jej interpretacji brzmiał równie mdło, jak przed chwilą w wykonaniu Liny.

– Mamo, zagraj coś innego. Wolę Beethovena – to było całe wyjaśnienie, jakiego wtedy udzielał.

Nie zdarzało się to często, ale przynajmniej dwa razy Siergiejowi i Linie udało się zostać samym w domu Stahlów, ze względu na jakieś artystyczne zajęcia gospodarzy poza Nowym Jorkiem. Chodziło o kilka zaledwie godzin darowanej intymności, ale ten czas wystarczył, żeby jeszcze bardziej wzmocnić uczucia, które z każdym dniem wydawały się coraz bardziej intensywne. Jednakże idylliczna sceneria domu na Staten Island powoli stawała się dla nich zbyt ciasna, zaczęli się dusić w dotychczasowych dekoracjach, a jednocześnie towarzyszyło im zbyt wielu widzów. Siergiej przekonał Linę, żeby spędzali popołudnia w kinie, przenieśli spacerować do Central Parku i zaczęli bywać w pewnej dyskretnej nowojorskiej restauracji. Nie odniósł jednak takiego samego sukcesu, namawiając ją do odwiedzenia jego mieszkania w hotelu Calumet. Nie był to budynek z luksusowymi apartamentami, ale przy piętnastu dolarach tygodniowej opłaty Siergiej mógł sobie pozwolić dodatkowo na wypożyczenie fortepianu, dzięki czemu mógł ćwiczyć, kiedy chciał, przygotowano mu bowiem jeden z pokoiów o najlepszej akustyce i najbardziej oddalonych od reszty gości.

Siergiej wszelkimi sposobami próbował zwabić do siebie Linę. Pewnego dnia powiedział jej, że jest chory, i prosił, żeby go odwiedziła. Kiedy indziej potrafił zniżyć się do błagania jej o współczucie, po tym jak w przeddzień koncertu skaleczył się w kciuk lewej dłoni, co – według jego własnych słów – zmuszało go do gry „o dwadzieścia pięć procent gorszej” niż normalnie. Przy jeszcze innej okazji próbował

obudzić jej zazdrość, twierdząc, że jeśli nie zgodzi się spędzić u niego popołudnia, sprowadzi inną kobietę, a konkretnie początkującą aktorkę Dagmar Godowsky, córkę polskiego pianisty otoczoną sławą *femme fatale* i znaną później z głośnych romansów z Rudolfem Valentino, Charlesem Chaplinem, a także jednym z bezpośrednich konkurentów Prokofiewa – Igorem Strawińskim. Żadna z tych taktyk wywierania nacisku nie przyniosła efektu. Lina obrała bardzo jasną strategię i nie ustępowała przed kaprysami ani tym bardziej przed bezczelnymi i wywieranymi po amatorsku naciskami, które świadczyły, że jej ukochany ma niewielkie doświadczenie w dziedzinie podbojów. Za radą swojego przyjaciela Aleksieja Siergiej starał się zachowywać cierpliwość, ale czasami zapominał się, przez co sprawy komplikowały się jeszcze bardziej, tak jak pewnego popołudnia, gdy oboje z Liną wychodzili z kina. Kiedy Siergiej uznał, że znów został odrzucony, wbił wzrok w swoją towarzyszkę i powiedział, że nie można prowadzić wszystkiego do oglądania filmów i spacerowania po Central Parku.

– To się robi nudne – dodał, nie miarkując ani słów, ani tonu, co zresztą przydarzało mu się dość często.

Ten komentarz zdegustował Linę do tego stopnia, że postanowiła od razu wracać do domu. Pod pretekstem, że boli ją głowa, poprosiła Siergieja, żeby ją odprowadził, jak tego wymagały elementarne normy dobrego wychowania. Kiedy zdała sobie sprawę, że Prokofiew prowadzi ją do najbliższej stacji metra, żeby ją tam zostawić, spojrzała na zegarek, a potem skierowała gniewny wzrok na Siergieja.

– Co ty wyrabiasz? – spytała go rozzłoszczona, a on nie uświadamiał sobie nawet, w czym problem. – Zdajesz sobie sprawę, która jest godzina? – Była tak urażona i rozczarowana, że miała ochotę natychmiast spoliczkować „bolszewickie dziwadło”, jak z uporem nazywała go Olga Niemyska. – Czy

ty się spotykasz z kobietami, które nie wymagają od ciebie minimum dobrego wychowania?

Siergieja tak zaszokowały jej słowa, że przez kilka chwil nie był w stanie zareagować. Tymczasem Lina rzuciła się pędem w dół po schodach prowadzących do stacji metra, nie próbując ukryć wściekłości. Musiał zbiegać, przeskakując po kilka stopni naraz, żeby ją dogonić, złapać za ramię i zatrzymać.

– Rzeczywiście kretyn ze mnie.

Zauważył, że Linie zbiera się na płacz, i to całkowicie go rozbroiło. Choć nieraz wykazywał się brakiem taktu i grzeczności, uświadomienie sobie, do jakiego stanu doprowadził kobietę, która budziła w nim coraz silniejsze uczucie – jakiego do tej pory nie znał – było ponad jego siły.

– Wybacz mi, proszę.

Lina po raz pierwszy usłyszała, jak Siergiej prosi o przebaczenie, i nie mogła się oprzeć zdziwieniu, że z jego ust wyszły takie słowa. Nie pozostawało jej nic innego, jak docenić ten bezprecedensowy fakt i przyjąć przeprosiny, czego zresztą tak naprawdę bardzo pragnęła. Wrócili na ulicę i oboje wsiedli do taksówki, w której Siergiej objął ją i powtarzał wielokrotnie te same słowa:

– Jestem kretynem. To się więcej nie powtórzy. Naprawdę kretyn ze mnie.

Od chwili, w której Prokofiew zawitał do jej świata i która miała odmienić jej życie, Linę dręczyła ciągła karuzela uczuć, których doświadczała. Próbowwała wyjaśnić sobie, czy te wszystkie emocje, zaburzające jej świadomość i pogrążające ją w zmysłowym transie, ilekroć przebywała w towarzystwie Siergieja, są związane z nim, czy z jego muzyką. Przez wiele dni starała się zrozumieć naturę tych dziwnych dreszczy, których nigdy wcześniej nie doświadczała. Próbowowała wyobrazić sobie Siergieja z dala od fortepianu i sal

koncertowych, kiedy jego dłonie nie są zajęte zapisywaniem partytury ani też jego palce nie ślizgają się po klawiaturze z czułością i zawziętością, z jaką – jak podejrzewała – mogły też dotykać kobiecego ciała. Ale te eksperymenty myślowe wydały jej się śmieszne. Nie chciała przecież zadowolić się jedną częścią swoich doznań. Pragnęła wszystkiego, potrzebny jej był i ten mężczyzna, i jego muzyka, bo osobno nie dało się ich zrozumieć.

Pragnęła spacerów po parku i zbierania liści, popołudniowej herbaty w restauracji Sherry's, dygresji na temat Freuda, podejmowanych przez Siergieja prób nauczania jej gry w szachy, a szczególnie jego ulubionego wariantu: obrony sycylijskiej – bardzo ryzykownej, w której chodzi o zniszczenie defensywy przeciwnika.

– Przesunięcie piona sprzed królowej o dwa pola naprzód to zasadniczy ruch w obronie sycylijskiej. To jest rozwiązanie agresywne, silne, bo jeśli dojdzie do wymiany i zbitcia białego piona sprzed królowej, czarne pionki nadal będą brały udział w grze w centrum, podczas gdy białe pozostaną słabe. – Lina przytakiwała w milczeniu; uwielbiała obserwować Siergieja wykazującego taką pasję wobec czegoś, co nie było fortepianem. Ale wolała unikać udziału w sytuacjach, kiedy w geniuszu budziło się szaleństwo, którego miała być jedynym świadkiem. Pewnego popołudnia Prokofiew pomógł jej wysiąść z taksówki, która przywiozła ją pod adres wskazany przezeń dzień wcześniej. Bez zbędnych ceregieli zadał jej pytanie:

– Podarujesz mi czternaście minut swojego życia?

Pytanie zaniepokoiło ją, ale nie tak jeszcze jak to, co przeżyła chwilę później, wchodząc do budynku z czerwonej cegły, w którego wnętrzu krył się stary, opuszczony teatr. Nie potrafiła zgadnąć, o którą ze scen chodziło, nigdy nie była w tym miejscu, nie znała też zbyt dobrze okolicy, w jakiej się

teraz znalazła. Siergiej poprosił, żeby zajęła miejsce w zupełnie pustej sali teatralnej. Scena była zasłonięta czerwoną kurtyną. Dobiegały zza niej jakieś dźwięki, które ktoś niezdarnie próbował uciszyć. Siergiej, usadowiwszy się w fotelu tuż za nią, spytał, czy pozwoli sobie zawiązać oczy. Poważnie już zaniepokojona Lina odmówiła.

– W takim razie jestem zmuszony ci zaufać. Zamknij oczy i nie otwieraj, aż cię poproszę.

– Ale przecież nic nie zobaczę – poskarżyła się.

– Nie ma nic do oglądania. Tylko słuchaj – powiedział i uśmiechnął się, widząc uległość, z jaką młoda kobieta ustąpiła.

Rozległy się pierwsze akordy *I Symfonii D-dur*, której kompozytor nadał nazwę *Symfonii klasycznej*. Podczas gdy świat wykrwawiał się w zmaganiach wielkiej wojny, Prokofiew spędził lato 1917 roku w wiejskim domu niedaleko Piotrogradu, w wyłącznym towarzystwie Immanuela Kanta i z jednym, obsesyjnie brzmiącym w głowie pomysłem muzycznym. Był u progu stworzenia czegoś całkiem odmiennego, nawet nie korzystał z fortepianu przy komponowaniu. Spędził mnóstwo dni z pomysłem napisania symfonii w stylu Haydna, o klasycznym układzie i dużo prostszej niż inne jego utwory. Zrobił to w pamięci, nie słuchając ani jednej nuty z tego, co zapisał na pięciolinii. Wszystko działo się w jego głowie, w której były też instrumenty: smyczki, drewniane, dęte... Ta płynąca z niego samego prostota wydała mu się ciekawą prowokacją i z rozbawieniem myślał o konsternacji, jaką wywoła.

I teraz oto Lina wysłuchiwała czterech części utworu skomponowanego w stylu klasycznym, od którego Prokofiew zazwyczaj tak uparcie uciekał. *Allegro*, *Larghetto*, *Gavotta* i *Finale molto vivace* wywarły przemożny wpływ na rytm uderzeń jej serca i wypełniły ją emocjami o takiej intensywności,

jakiej rzadko doświadczała. Nie była w stanie odzyskać równego oddechu. Uznała, że najprawdopodobniej wysłuchała najpiękniejszej muzyki, jaką miała okazję poznać w życiu. Kiedy orkiestra przestała grać, cisza wydawała się jednocześnie grzmiąca i pusta, wydrążona i nabrzmiąca, boleśnie intrygująca. Głos Siergieja przerwał ten gęsty stan bezdźwięczności, który zapanował we wnętrzu teatru.

– Gdyby Haydn żył, taka byłaby jego nowa symfonia.

Spojrzał na Linę i zauważył, że wciąż pozostaje pod urokiem tego, co właśnie usłyszała. Miała otwarte oczy, nie potrafiła opanować łez. Nie wiedziała, jak przyswoić piękno tej muzyki. Symfonia wprowadziła ją w takie emocje, że przez gardło nie chciały jej przejść żadne słowa. Siergiej doprowadził do tego, że ta kobieta o twarzy anioła nie tylko stała się jego muzą, ale też najbardziej oddaną wielbicielką; było to dla niego źródłem ogromnej satysfakcji.

– Powinienem był zawiązać ci oczy – powiedział z ironią, stwierdziwszy, że nie dotrzymała obietnicy dotyczącej opuszczonych powiek. – W przyszłości trudno mi będzie ci zaufać.

Kiedy skierowali się ku tylnej części sceny, być może pod wpływem panującej tam ciemności, Lina pokonała swoje własne opory, którym za radą matki pozostawała wierna przez kilka miesięcy, i nachyliła się powoli ku Siergiejowi. Ten przyjął zawarte w tym geście zaproszenie bez najmniejszego sprzeciwu, wręcz odwrotnie... Lina musiała odreagować to wszystko, czego za sprawą Siergieja właśnie doświadczyła. Pocałowała go, zamknąwszy oczy, tak jak sobie obiecywała, słuchając *Symfonii klasycznej*. Był to ich pierwszy pocałunek po sześciu miesiącach spotkań. Siergiej wyczuł na wargach Liny słony smak łez.

Oboje wielokrotnie i na różne sposoby wyobrażali sobie ten moment, ale nie tak: nie jako akt niemal konspiracyjny,

dokonany na zapleczu starego teatru i pod osłoną ciemności, która okazała się idealnym sprzymierzeńcem ich ust, mogących wreszcie powiedzieć sobie to, co oboje uciszali przez długie miesiące. Rzeczywistość dorównała oczekiwaniom, jakie żywili w swoich umysłach, a nawet je przerosła. Żadne z nich dwojga nie spieszyło się z oderwaniem się od drugiego, jakby wokół nich zatrzymał się czas i jakby istnieli tylko oni. Oboje czuli, co to jest pierwszy pocałunek; w przypadku Liny nie było to tylko odczucie, ale rzeczywistość. Siergiej był pierwszym mężczyzną, którego pocałowała w ten sposób, bez pośpiechu, bez lęków, pragnąc tego naprawdę i nie zastanawiając się, co będzie potem. Jego zaś bawiła ta scena i pozwolił Linie – co zdarzało się rzadko w przypadku jego poprzednich podbojów – grać w niej, przynajmniej na początku, główną rolę. Nie spodziewał się tak wylewnej reakcji ze strony osoby, która wielokrotnie wykazywała nieśmiałość i rezerwę, ale i ona nie spodziewała się tych czternastu minut życia, które właśnie zgodziła się podarować Siergiejowi. Lina nie miała wątpliwości: potrzebowała ich obu, Siergieja i Prokofiewa, w takim samym stopniu.

Po kilku dniach założyła szynszylowe futro, które tak bardzo podobało się Siergiejowi, niedawno kupione czarne buty na obcasach, a głowę owinęła elegancką, jedwabną, cynobrową chustą. Miała nadzieję, że ta ostatnia część garderoby pozwoli jej – po przekroczeniu progu hotelu Calumet – przejść bez zwracania na siebie uwagi recepcjonisty. Wiedziała, że chodzi o skomplikowane przedsięwzięcie, bo należała do młodych kobiet przyciągających urodą i elegancją wszystkie spojrzenia. Dotarła do pokoju Siergieja, drżąc – nie wiedziała, czy ze wstydu, ze strachu, czy z niepokoju o to, że ktoś mógł ją rozpoznać, kiedy wchodziła do hotelu. Jej drżenie nie uszło uwadze Siergieja, który przez cały czas zdawał sobie sprawę, jak wielką wagę ma dla niej krok, na który się

zdecydowała, ulegając jego uporczywym namowom. Tym razem to on przejął inicjatywę, delikatnie i zręcznie prowadził ją przez wszystkie etapy nieoczekiwanego debiutu, który miał się dokonać tego popołudnia. Przyglądał się jej przez kilka chwil, jakby wciąż nie wierzył, że ta piękna kobieta – wyglądająca w tej chwili raczej jak przestraszone dziecko, mające wkroczyć na nieznaną teren – rzeczywiście przed nim stoi. Lina odłożyła torebkę i okulary na jedną z szafek i zabrała się do zdejmowania jedwabnej chusty, która nadal zakrywała jej głowę.

– Zostaw to mnie – poprosił ją Siergiej.

Jego palce powoli rozwiązały węzeł chusty, a potem pozwoliły jej opaść na podłogę. Zaczął delikatnie całować Linę, jego usta wolno przesuwały się po jej policzku, szyi, odnalazły płatek ucha, wyszeptały tam coś, od czego oddech Liny przyspieszył. Siergiej nie chciał jej poganiać, bał się, że zbyt gorączkowe działanie może ją wystraszyć i skłonić do ucieczki. Ale Lina nigdzie nie miała ochoty iść, sądząc po drzeniu, które stopniowo ją przenikało, w miarę jak ręce Siergieja zaczynały docierać do zakątków jej ciała, o których nawet ona sama nie wiedziała, i kreślić mapę całkiem nowych zmysłowych doznań. To on nadawał rytm, w końcu był specjalistą. Ona na razie zachowywała się jak widz, pozwalając nieść się fali i akceptując potulnie to, co miało się wydarzyć.

– Jesteś pewna? – spytał, bardziej z obowiązku niż z prawdziwego przekonania.

– Nigdy w życiu nie byłam niczego tak pewna – odpowiedziała, nie przestając mu się przyglądać. Przez chwilę wydawało się, że powie coś jeszcze, w końcu wszelkie słowa pozostały zamrożone na jej wargach.

– Bądź spokojna – próbował ułagodzić ją Siergiej, wyczuwając lęki, które musiały pojawiać się w jej umyśle. – Zaufaj mi.